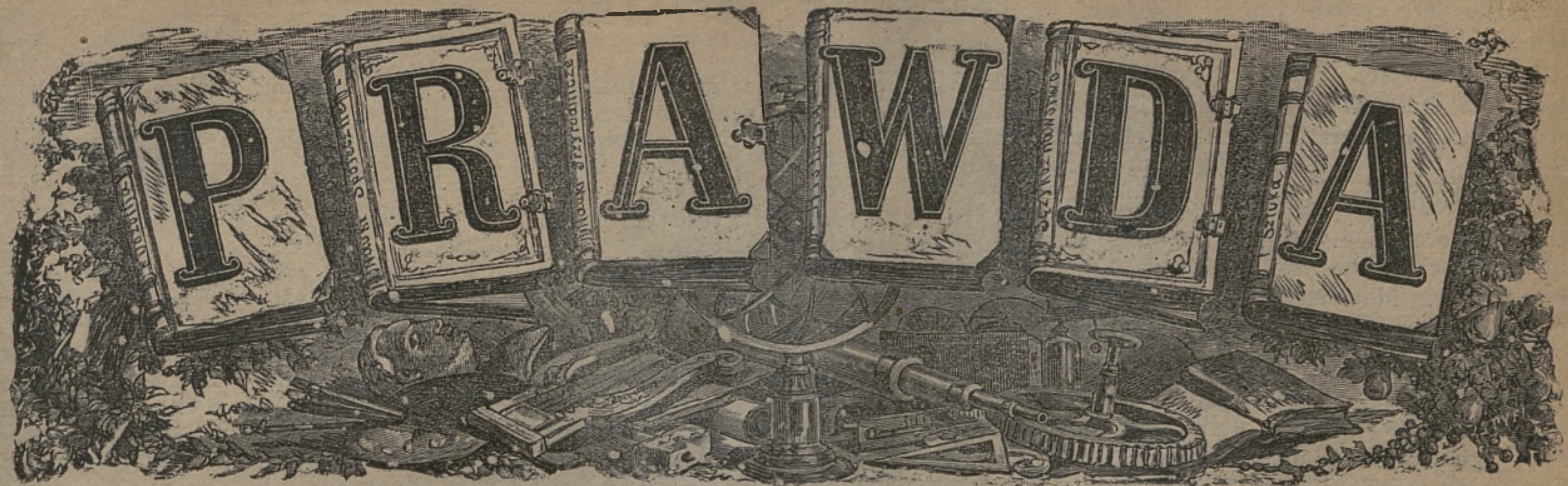
№ 27. Warszawa, dnia 7 Lipca (25 Czerwca) 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Pereat! p. P. — Inspekcye fabryczne. — Jakóbowa p. X. X. — Wiec rusinów halickich p. Nalewajkę. — Z Heidelberga p. J. Karłowicza. — Nowy plan restauracyi społecznej p. J. L. P. — Ruch ekonomiczny p. W. Wścieklicę.— Prasa peryodyczna: Biblioteka Warszawska—Ateneum p. N. H.—Liberum veto p. P. o. P. P.—W perspektywie p. Maryana Bohusza.—Tydzień polityczny.— Cudze głosy.—Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. —Ogłoszenia.

PEREAT!

Oszołomiony sławą, upojony wojennem powodzeniem naród niemiecki świadomie wyzuł się z tych właściwości germańskiego ducha, któremi niegdyś słusznie mógł się chlubić. Dziecię nieprawego związku koszar z filozofią, liberalizm niemiecki, w stosunku zwłaszcza do innych ludów, wyparł się cynicznie tych haseł, które poprzednio wypisał na swoim sztandarze. Cenne zdobycze myśli i uczucia poniżono i wdeptano w błoto, albo, co gorzej, poprzekręcano i przykrojono do nowych wzorów. Nawet uniwersytety, ostatnie zbiorniki umysłowego życia, chętnie zamieniały biret i togę na pikelhaubę pruską i płaszcz wojskowy. Ale widocznie w głębi sumienia lepszych jednostek wrzask surm bojowych i brzmienia tryumfalnych hymnów nie zagłuszyły do reszty poczucia prawdy i sprawiedliwości. Od czasu do czasu zmuszone do milczenia sumienie podnosiło głos, ale czy to są oznaki zbliżającego się otrzeźwienia i odrodzenia, czy raczej prorocze wieszczby Kassandry, zwiastujące zgubę i upadek, niedaleka przyszłość pokaże.

Do takich śmiałych i uczciwych, prawdziwie liberalnych objawów niemieckiej myśli należy właśnie mowa rektora uniwersytetu wiedeńskiego Maassena, którą wygłosił w sejmie dolno-austryackim z powodu rozpraw nad założeniem w Wiedniu szkoły czeskiej, broniąc praw każdej narodowości do uczenia dzieci we własnym języku. Wykazawszy, że żądania czechów na gruncie prawnym są zupełnie uzasadnione, że swoboda kształcenia jest konieczną w mieście, będącem stolicą różnojęzycznego państwa, że właśnie przeciwnicy czeskiej szkoły chcą uczynić Wiedeń czysto niemieckim miastem, a więc odjąć mu państwowe znaczenie i zrobić stolicą jedynie Dolnej Austryi — prof. Maassen w dalszym ciągu rzucił kilka uwag ogólnych. Z zimną krwią, pomimo szyderczych okrzyków większości, piętnował niesumienność i szowinizm centralistów. Dowodził on, że jeżeli w Wiedniu tylko język niemiecki może być wykładowym, w takim razie tam, gdzie niemcy stanowią mniejszość, nie mogą w szkole używać swej mowy. „Czy myślicie— zawołał — że inne narody uznają dobrowolnie wyższość języka niemieckiego? Spróbujcie je przekonać, dowódźcie im wszelkich korzyści, jakie za sobą pociąga znajomość niemczyzny, wykładajcie im wyższość kultury niemieckiej— każdy wzruszy tylko ramionami i powie: *niema nikogo tak wysokiego na ziemi, abym w porównaniu z nim miał sobą samym pogardzać.*" „A czy sądzicie — ciągnął dalej — że uda się wam zmusić ich do tego? Czy wierzycie, że to jest możliwem w naszych czasach, kiedy poczucie narodowe zbudziło się z nową siłą?"

Mówca zresztą nie życzy sobie nawet tryumfu cywilizacyi niemieckiej, ze szkodą innych ludów. Istota narodu niemieckiego — według niego — polega nie tylko na języku, ale i na sposobie myślenia, którego główną zaletą jest sprawiedliwość. Żądza panowania i zarozumiałość są grzechami, wołającymi o pomstę. „Gdybym miał przekonanie — powiada — że sprawiedliwość nie jest naszym narodowym przymiotem, cała niemieckość dla mnie nie wartą byłaby szeląga." Parafrazując zdanie jednego z mężów rewolucyi francuskiej: „chcecie być wolnymi, a nie umiecie być sprawiedliwymi," Maassen zakończył mowę wspaniałem ostrzeżeniem: „Panowie! strzeżmy się, aby nam kiedyś nie powiedziano: *chcieliście być niemcami a nieumieliście być sprawiedliwymi!*"

Przemówienie to wywołało w sejmie straszną wrzawę; przerywano Maassenowi na każdem niemal słowie, obrzucano wzgardliwymi epitetami, ale wszystko to dowodzi tylko, że cios, wymierzony pewną i śmiałą ręką, trafił dobrze. Nie skończyło się wszakże na tem. Profesorowie uniwersytetu (63) zaprotestowali przeciw wystąpieniu rektora w liście wystosowanym do niego. Uczeni mężowie, jako nauczyciele pierwszego uniwersytetu niemieckiego w monarchii, oświadczają uroczyście, że nie podzielają przekonań politycznych i narodowych, jakie ich przedstawiciel wygłosił w sejmie. Rektor odpowiedział godnie na ten wybryk uczonego szowinizmu. Z przykrością zaznacza sprzeczność swoich poglądów ze zdaniem kolegów, ale nie miał wyboru drogi: „Miałem pochwalić zachowanie się, którego pochwalić nie mogłem, miałem powiedzieć *tak* a mogłem powiedzieć tylko *nie*, miałem nazwać czarnem to, co dla mnie było białem?"

Przekonania swe wyznawał już, gdy pierwszy raz przybył do Austryi (jest z pochodzenia meklemburczykiem) — wyznawał je zawsze głośno: stanowią one część jego duchowej istoty, „z niemi — rzekł — żyłem i padnę."

Wprzód jeszcze studenci uniwersytetu zwołali zgromadzenie, a kiedy rektor przybył do auli, zaczęli krzyczeć: *pereat*! (niech zginie). Manifestacya ta nie miała dalszych skutków; rektor stanowczo zgromił zebranych, którzy nawrzeszczawszy się do syta, poszli spokojnie do domów. We wszystkich uniwersytetach na całym świecie zdarzają się t. z. historye studenckie, kończące się nieraz tragiczniej, aniżeli zajście w Wiedniu, ale zawsze noszą zupełnie inny charakter. Wszędzie młodzież jest żywiołem łatwo zapalnym, skłonnym w polityce do skrajnych przekonań. Oprócz pobudek politycznych działają czasem i inne przyczyny, rzeczywista lub urojona nie-

sprawiedliwość zwierzchników przemawia silnie do serc wrażliwych. Studenci niemieccy różnią się pod tym względem od większości swoich kolegów, szkoła niemiecka nie kształci obywateli, oprócz knajpy i książki myśl ich rzadko wybiega po za ciasne szranki burszowskich interesów. Kiedy już wmieszają się do polityki, to widziemy w jakiej roli. Prześladowania żydów w Berlinie, owacye dla Schönerera i *pereat* Maassenowi — oto jedyne publiczne występy niemieckiej młodzieży w ostatnich czasach. Jak strasznem musi być zdziczenie moralne całego narodu, kiedy najlepsza zwykle, najidealniejsza część jego wznieść się nie może do prostego poczucia sprawiedliwości i umie tylko niesfornymi hałasami zagłuszać każdy głos prawy i szlachetny! Doprawdy trudno uwierzyć w takie wynaturzenie się młodych serc. Czyż podobna np. wyobrazić sobie studentów francuskich, żądających zniesienia włoskich szkółek w Marsylii? Wstrętne, średniowieczne burszowstwo niemieckie do całego szeregu knajpowań, pojedynków, fakelzugów dla Bismarka itp. dodaje właściwy zupełnie finał.

A więc członkowie sejmu, profesorowie i studenci uniwersytetu, kwiat inteligencyi niemieckiej w Austryi jednozgodnie zawołali *pereat* — Maassenowi — a w osobie jego sprawiedliwości i wolności ludów! Czy tylko to przekleństwo nie będzie łabędzim śpiewem konającego centralizmu? Niedawno właśnie żegnaliśmy kończący swoją smutną karyerę narodowo-liberalizm w Prusach; bliźniak jego centralizm wiedeński nie wiele więcej ma również życia. Tylko gdy starszy brat jego, stoczony rakiem wewnętrznego rozkładu, zgnił spokojnie, wzięty na surową dyetę pruskiego regulaminu, centralizm miota się w bezsilnych konwulsyach przedśmiertnych i pieni ze złości i poczucia własnej niemocy. Bądź co bądź, dni jego już są policzone i nie zadługo bez żalu i litości, z pełnych piersi wykrzykną mu: *pereat!* ciemiężone i upośledzone ludy Austryi. *P.*

INSPEKCYE FABRYCZNE.

Władze prawodawcze w Petersburgu zamierzają znacznie rozszerzyć zakres działalności tak zwanych inspektorów fabrycznych, których obowiązkiem będzie także czuwać nad przepisami, tyczącymi się bytu robotników fabrycznych, a mianowicie pracy kobiet i dzieci.

Za granicą, a głównie w Niemczech i Anglii instytucya inspekcyi fabrycznej w tym kierunku znacznie się już wydoskonaliła*) i może poniekąd służyć za wzór w ulepszeniach odnośnej ustawy, obowiązującej w państwie rosyjskiem. Jeżeli przemysłowcy i zarządy fabryk nie wszędzie jeszcze mile widzą i oczekują inspektorów, pochodzi to nie tylko z obawy przed nadzorem, ale także i przed jego wykonawcami. Pod tym względem pewne niepokoje budzi wiadomość, podana przez dzienniki, że wskutek braku tu i owdzie odpowiednich kandydatów, obowiązki te mają być wkładane na miejscowych urzędników *akcyznych*. Czyż jednak taki urzędnik nadaje się do podobnej roli? Mocno wątpimy. Przez błędny wybór instytucya ta może w samych początkach być zdyskredytowana w oczach zarówno przemysłowców, jak i klas robotniczych. Niedbałem i ubocznem spełnianiem swego zadania, inspekcya, zamiast przyczynić się do polepszenia bytu robotników i rozwoju przemysłu, może stać się nową kulą u jego nogi i zatamować wszelki postęp społeczny w swej sferze. Nieodpowiednio bowiem uzdolnieni urzędnicy muszą wydawać rozporządzenia bezzasadne, które potem z trudnością cofaliby, szukając przytem własnej korzyści materyalnej.

Sprawę dozoru świeżo poruszono w Niemczech. Frankfurckie stowarzyszenie inżenierów ogłosiło niedawno w czasopiśmie *Wochenschrift des Vereins deutsch. Ingenieure* swoje w tym względzie zasady. W sprawozdaniu tem niemiecki ustrój inspekcyi fabrycznej uważany dotąd za wzorowy, jest gruntownie zbadany i poddany krytyce, a zarazem proponowane są pewne ulepszenia, zasługujące ze wszech miar na uwagę. Całego wywodu nie podobna tu przytaczać; interesujący się bliżej tą sprawą znajdą ją w nr. 21. Tutaj dosyć będzie przytoczyć główne punkta.

Od inspektorów wymagane są kwalifikacye. Naprzód powinni być wybierani z ludzi, posiadających wyższą wiedzę techniczną i o ile możności dłuższe doświadczenie przemysłowe. Mają oni być jaknajbardziej wolni od czynności czysto policyjnych i administracyjnych, ażeby zdołali oddać się całkiem swoim obowiązkom. Kontrola ich musi przedewszystkiem czuwać nad przepisami fabrycznymi względem pracy dzieci i kobiet, ponieważ w praktyce największe trafiają się nadużycia.

Dalej sprawozdanie domaga się, aby okręgi inspekcyjne nie były zbyt rozległe, dla możności częstszego kontrolowania zakładów przemysłowych, a przynajmniej, żeby dodawano inspektorom pomocników, jak to ma miejsce w Anglii. Liczba ostatnich w danym okręgu winna być zastosowana do rozwoju przemysłu i liczby fabryk, a w miarę istnienia specyalnej gałęzi przemysłu mają być mianowani pomocnicy odpowiednio uzdolnieni. I na te posady należy wybierać również ludzi wykształconych technicznie i doświadczonych praktycznie, aby znali dokładnie stosunki i potrzeby robotników i mogli ocenić słuszność ich wymagań. Czynności pomocników powinny stanowić niejako przygotowanie do stanowiska właściwych inspektorów fabrycznych. Jednocześnie w wyższych zakładach technicznych wykłady powinny uwzględniać w pewnym stopniu kształcenie zdolnych inspektorów, zwłaszcza co do budowy machin i architektoniki, pod względem bezpieczeństwa ruchu i ochrony zdrowia robotników.

Punkt trzeci motywów kładzie nacisk na sprawozdania doroczne inspektorów fabrycznych, które mają świadczyć zarazem o gorliwem spełnianiu obowiązków.

Motyw czwarty wykazuje szkodliwość wkładania na inspektorów bezpośredniej władzy policyjnej i wykonawczej i zaleca raczej nadanie temu urzędowi poważnego znaczenia opieki i charakteru przewodniczącego. Inspektor powinien posiadać zaufanie zarówno robotników jak fabrykantów, bezpośrednia władza wykonawcza szkodziłaby temu stanowisku. Może on wzywać władze administracyjne i policyjne do usuwania wykroczeń i do pilnowania ich czynności.

Piąty punkt domaga się, aby przy udzielaniu pozwoleń na zakładanie nowych fabryk bywali wzywani o opinię inspektorowie fabryczni, jak niemniej na biegłych sądowych w specyalnych sporach i sprawach przemysłowych.

Nakoniec komisya niemiecka zaleca, aby urząd inspektorów był należycie opłacany dla ściągnięcia doń uzdolnionych i energi-

JAKÓBOWA.

Niema pewno człowieka na świecie coby rad nie wspomniał dni przeżytych. Jak posiwieje, przygarbi się, najchętniej wraca myślą do tego, co — nie wróci.

I chłop ma swoje wspomnienia, i on na starość z żalem mówi, że już młodość przeszła — daleko.

Cóż dziwnego, że i Jakóbka przestaje co chwila prząść i opowiada swoje „dziwceńskie“ czasy. Jakóbka jestto, jakby powiedziała Felkowa: „należyta baba,“ a jak sama o sobie mówi: „korab!“ Nazwa bardzo uzasadniona. Jakóbka jest bardzo obszerną, czerwoną i zdrową babą. Bo też w życiu chorowała tylko trzy razy a raz tylko „z dobra-woli.“ Palec ją „nie wiada skąd“ zabolał i spuchł. Kosztowało ją to 10 złotych. Musiała iść do doktora i zrobił jej „reperacyę.“

— I daliście mu 10 złotych — pyta Weronisia.

— Nie dałam, Weruniu kochana sam sobie wziął. Wyjął z kieszeni płatek i z płatka odrachował 10 złotych, jak jeden grosz!

Chorowała, co prawda, Jakóbka kilkanaście razy w roku z przejedzenia, ale nie wiem, czy wypada i to zaliczyć do chorób, ile że sama mawiała w takich razach, że „tylko cała nie może.“

— Dawno — mówi — byłam ja majster do roboty!

To też zapewne, zważywszy jej zasługi, przyszła panu fantazya wziąć Jakóbkę na łaskawy chleb. Dziś siedzi i przędzie, ale więcej gada, niż przędzie. Coraz kółko staje, i słychać ochrypły głos baby:

— Weronisia myśli, że tylko ona młoda. I ja byłam młoda.

I setny raz opowiada, jak jej chłopaki nie dawali „skrątwy,“ jak do karczmy na ręku wynosili z izby, jak się każdy żenić chciał, bo nie było pracowitszej dziewki nad Jakóbkę. Chustka, przy tych opowiadaniach, zsuwa się jej z głowy, bo baba nie może dosiedzieć na miejscu, tylko wyłazi na środek izby i pokazuje: jak się uwijała przy żniwie, jak „tępała“ w mazurku — i nuci półgłosem piosenki. Weronisia i inne pękają od śmiechu, co babę wprowadza w zły humor.

— I z czegóż się śmiejeta — mówi i siada zła pod kółko.

Nie można powiedzieć, żeby panią również bawiły te opowiadania; z daleko większą pewnością możnaby twierdzić, że ją nawet niecierpliwiły, bo kółko co parę minut milkło. Ale czasem miewała i Jakóbowa melancholijne godziny a wtedy sprzędała za trzy.

Każdy bo człowiek ma swego mola.

Miała go i baba. Och miała! i jakiego! Miała w postaci suchego, starego Jakóbka. Zaręczała, że mu się przed czterema laty „na sto obróciło“ i dziwiła się nieraz rozpaczliwie, dlaczego ta scheda nie „zesknie.“

— Pamięta jaknajlepiej pierwszego Francuza, to policzta, ile ma lat.

Z jaką gorliwością przywoziła mu księdza, ile razy dziad łypnął oczami. Niebogа mówiła sobie zawsze:

— Abo na tę stronę, abo na tę.

Wiedziała ona dobrze, na którąby było lepiej. Ale po księdzu dziad był zawsze raźniejszy. Raz już zaczął puchnąć. Baba latała po całej wsi, wołała:

— Siostrzyczko, jak święta ziemia został, już on się tera nie wykaraska.

Ale Jakóbek, jakby na złość swej babie, wykaraskał się i właśnie „przede-żniwy“ obróciło mu się, według rachuby Jakóbki, na 105 rok.

Stary kaszle ciągle, czasem kartofle skrobie; zresztą nie robi nic, bo mu sił braknie, i tylko leży pod pierzyną. Zdaje

cznych techników, którzy jedynie mogą odpowiedzieć godnie obowiązkom. Obok tego rząd winien udzielać sumy na potrzeby biurowe inspektorów, aby ci niepotrzebowali tracić sami czasu na czynności kancelaryjne.

Gdyby w państwie rosyjskiem instytucya ta została ulepszona wedle wskazówek powyższych, z pewnością nie brakłoby ludzi odpowiednich, którzy zechcieliby swą pracę zwrócić w tym kierunku, przez co przemysłowi i klasom roboczym oddaliby ogromny pożytek. Przeciwnie powierzenie tych specyalnych zadań urzędnikom akcyznym, nieposiadającym odpowiedniego wykształcenia technicznego i obcych zupełnie interesom przemysłu jak i klas pracujących, byłoby wielkim błędem, który mógłby pociągnąć najgorsze następstwa

---

WIEC RUSINÓW HALICKICH.

Lwów, d. 1 lipca

Zapowiadane od dawna *wsenarodne wicze* odbyło się ostatecznie 29 czerwca. Przybyli na meeting ten notable narodu ruskiego z całej Galicyi — prócz nich kilka tysięcy włościan ze wszystkich zakątków naszego kraju, z nad Sanu i Dniestru, z pod Czarnej Hory i z jarów podolskich, z wierzchowin Styru i Bugu i połonin Beskidu. Łemki, bojki i huculi oryginalnym swym ubiorem uwagę widza zwracali na siebie najwięcej. Dzielny to jeszcze lud ci górale! Mieszkańcy dolin — istne wobec nich charłaki.

Tłumu tego sala Domu narodnego, chociaż we Lwowie ze wszystkich największa, nie zdołała pomieścić. Zaledwie połowa mogła się do niej wcisnąć — część zaległa pobliskie sienie i krużganki, reszta zaś tłumiła się na schodach, ujście swobodne znajdując, dla nadmiaru swego, na przyległym gmachowi placu *Castrum*.

Poczestne miejsce zajęli oczywiście wybrani niedawno posłowie ruscy. Niewiele oni tam zawadzali! Zaledwie ich przecież dziewięciu... Dziesiątego — ks. Kowalskiego — którego wybrali polacy z większych posiadłości obwodu żółkiewskiego, nie zauważyliśmy na wiecu. A przecież ks. Kowalski zapowiedział, że wstąpi do klubu ruskiego!

Wiec urządzony został staraniem obu stronnictw. W imieniu komitetu wiecowego otworzył go dr. Iwan Dobrjański, adwokat tutejszy, świętojurzec i ten też przewodniczył dalej zgromadzeniu. Zastępował go zaś dr. Antoniewicz, ukrainiec.

Celem wiecu było naradzenie się nad obecnymi stosunkami narodowymi w Galicyi, nad ekonomicznym stanem kraju, nad sprawami szkolnemi, a wreszcie kościelnemi. Wyrazem żądań zgromadzonych są uchwalone rezolucye, z których osnową zapoznamy czytelnika niżej. „Mamy się zastanowić — mówi przewodniczący, posiedzenie zagajając — nad tem, czego nam potrzeba i co nas boli. Wprawdzie konstytucya austryacka daje nam prawo wysyłania przedstawicieli do sejmu i do Rady państwa, w rzeczywistości jednak prawo to przedstawia się tak, że mamy w sejmie 9, a w Radzie państwa 3 zaledwie posłów. Gdyśmy zatem z ciał ustawodawczych zostali już niemal zupełnie usunięci, nie pozostaje nam nic innego, jak żądania nasze wypowiadać na zebraniach ludowych, ażebyśmy przecież w jakikolwiek sposób byli słyszani. Czyż mamy milczeć, gdy prawa nasze deptane są na każdym kroku, a świętości poniewierane? Musimy podnieść głos silny, ażeby go usłyszało i ministerstwo, które wywiesiło na swym sztandarze równouprawnienie wszystkich narodowości... Zastanowić się nam następnie trzeba nad sposobem bronienia praw naszych i obmyśleniem środków podźwignięcia narodu ruskiego z upadku. Oto program dzisiejszych narad.“

Taki był rzeczywiście program, tylko co do narad, to, prawdę powiedziawszy, nie było ich zgoła. Ale bo też i czasu brakło na nie. Zgromadzenie otwarte zostało o godz. 11-ej przed południem, zamknięte o 5-tej, trwało zatem godzin sześć — mimo to starczyło czasu zaledwie na uzasadnienie przez referentów gotowych już rezolucyj.

Na porządku dziennym stała najpierw uchwała o sprawach ekonomicznych. Uzasadniał ją p. Nahirny, inżenier, ze znajomością rzeczy, chociaż namiętność, z jaką przemawiał, pchnęła go kilkakrotnie na śliskie tory niewłaściwych porównań i nakręcenia faktów a przynajmniej malowania rzeczywistych stosunków na zbyt ciemnem tle. Skarżył się na nieustanne podwyższanie podatków od czasu, jak „rodak“ został ministrem, co tembardziej jest smutnem i wprost dla finansów państwa zatrważającem, że niedobór w budżecie nie ustaje i corocznie zaciągane są nowe pożyczki. Podobnie surowej, a znacznie jeszcze namiętniejszej krytyce poddał p. N. gospodarkę krajową.

Przyszedłszy do sprawy indemnizacyi tak mówił dalej:

„Spłata panom za pańszczyznę przewleka się nadmiernie tak, że zaledwie za lat 15 dopiero będziemy wykupieni zupełnie za cenę 243 milionów. (Wołania: *czujte!*). Idą na to dochody krajowe. Niema już zresztą co i mówić o indemnizacyi: w znacznej części utonęła ona już dawno w kieszeniach żydowskich. W budżecie krajowym ważną rubrykę stanowi także utrzymanie urzędników Wydziału krajowego. Jest to *asilum* dla podupadłych szlachciców, kosztuje 260,000 złr. rocznie. (Oburzenie). Tłomacz języka ruskiego dostaje 1800 złr. albowiem panowie urzędnicy wydziału krajowego nie uznają języka naszego za krajowy! (Oburzenie wzrasta coraz bardziej. Krzyki: precz z nim!) Sejm daje na oświatę ruską tylko 7,300, co jest zaledwie pięćdziesiątą częścią sumy, wyznaczonej na cele oświaty polskiej, a trzecią częścią tego, co otrzymuje sam teatr polski we Lwowie.“ (Oburzenie — wołania: *krywda!*)

Roztoczył następnie p. N. przed słuchaczami smutny obraz niedoli ludu wiejskiego, mówił o wywłaszczaniu go, nietylko przez żydów, ale i przez banki a zakończył projektem zaopatrywania przez sejm kas gromadzkich w tani kredyt. Jestto — zdaniem jego — jedyna deska ratunku. Poleciwszy następnie popieranie ruskiego towarzystwa gospodarskiego, które w ciągu jednego roku swego istnienia zdołało już skupić 420 członków, zawiadomił zebranych o zawiązywantu się Towarzystwa kupieckiego, którego celem będzie zorganizowanie handlu ruskiego po wsiach.

Odczytana przezeń rezolucya domaga się: 1) powiększenia wydatków państwowych na cele produktywne, mianowicie gospodarskie, ze szczególnem uwzględnieniem upośledzonej dotąd Galicyi; 2) jaknajwiększej redukcyi wydatków z kasy krajowej na utrzymanie urzędników autonomicznych i wogóle na administracyą, natomiast zwiększenia wydatków na poparcie gospodarstw włościańskich i mieszczańskich; 3) najściślejszej kontroli nad gospodarką Wydziału krajowego i wszystkich władz autonomicznych celem zapobieżenia marnotrawstwu grosza publicznego na cele

---

się, że właśnie to leżenie tak babę irytowało.

Niedawnom — powiada — poszwę uszyła, już ją „zder,“ bo to z pościeli nie wyłazi.

Weronisia zaręcza, że nawet raz w nocy Jakóbek dostał parę pięści od rozgniewanej żony, ale zawsze jest to tylko złośliwe przypuszczenie. Weronisia ma żal do Jakóbki, że przed panią „podwodzi,“ stara się więc babie przysłużyć, jak może.

— Proszę pani — mówi — już niema chciwszej baby na chustki.

I rzeczywiście. Trudnoby zliczyć, ile tam chusteczek znajdowało się w skrzynce. Na głowie coraz inna, a zawsze inaczej wiązana. Raz w gwóźdź, raz na czubku głowy, znów zsunięta na czoło. To już najgorszy znak — względnie najgorszy. Znaczy to bowiem, że Jakóbek ma się tak dobrze, że idzie na gawędę do starego Błażeja! Baba za to jest cały dzień niemowna i zła. Czasem stary wyrzeka, że mu duszno, że się tylko męczy.

— Zdychaj też raz — odpowiada mu i pociesza go baba.

— To międuś, kiedy skończyć nie mogę.

Ale jak staremu ulży, składa ręce i dziękuje Bogu, że mu „przemienił“ i że się może jeszcze „rozglądać po świecie.“

— Małoś się jeszcze narozglądał, mruczy zawsze Jakóbowa. Oj głupie te dziewki, co im się za mąż chce! Żebym ja była wiedziała, że z nim tak długo będę żyła!

Werunia słucha tego z niezadowoleniem.

Jakato Jakóbowa mądra — powiada — że ma męża, to drugim odradza.

Kiedyś poszła stara do córki i siedziała dwa tygodnie. Dziad stęsknił się.

— Jakoś matczyska nie słychać — rzecze — możebym poszedł poszukać.

W parę dni baba wróciła. Uśmiechnęła się, gdy jej to powiedzieli.

— No, takam ci zła, nieraz cię wybękam i chciałeś mię szukać!

Weronisia rozmowę słyszała. Popędziła do dziewuch.

— Siostrzyczki — woła — Jakóbka doprawdy swego dziada młóci.

Niedługo przypuszczenie Weruni zamieniło się w pewnik.

Opowiadano kiedyś o śmiertelności dzieci, Jakóbowa zaraz przy sposobności zaczęła wyrzekać.

— To oto ten umiera, co się nie nażył, a mój stary żyje i żyje. A co ja mam z nim za mękę, to powiedzieć trudno. Jednej nocy, to ażem go zmłóciła.

O, chyba nieprawda — mówi — Wera, zaćby babka miała sumienie?

— Sprawiedliwie — zaręcza Jakóbowa — takiem go należycie do bolącą zmłóciła w plecy, bo to już cierpliwości człowiekowi nie stanie. O, mój zbawny Jezu! Co ja się nad tą nędzą nie nakocołuję. Żeby się też Bóg obejrzał i zabrał go do swojej chwały.

Ale Bóg w pomoc babie nie przychodził. Jakóbek żył i poszwy darł.

— Teraz starego zemstuje — mówi Felkowa na wsi — a dawno też śmirci nie miała, żeby się z nią żenił. Nogi raniutko w stawie myła, w mróz w kaftaniku jednym chodziła, przy robocie tak się zakasywała, aż go zdurzyła.

Felkowa szła dalej, przypuszczała, że i dziśby jeszcze Jakóbowa za mąż poszła.

— Nie samej pierzyny żal babie, miarkuję ja.

Przypomina, jak, Jakóbowa opłakiwała powtórne wyjście za mąż Klukowej.

Nie dawno znów radził się Jakóbki owczarz po śmierci swej żony, co on ma robić.

Co tam Jakóbowa, zapytana, życzyła swojej schedzie, jeżeli naturalnie przypuszczenie Felkowej było prawdziwe?

Nie poradziła owczarzowi nic.

— Co mu tam mam radzić — rzecze — ma on swój rozum, mam ja mój, to dla siebie.

nieproduktywne lub fantastyczne *); 4) aby bank krajowy służył interesom nietylko większych właścicieli i kapitalistów, ale przedewszystkiem drobnych rolników i rzemieślników; 5) aby państwo i kraj więcej, niż dotąd, troszczyły się o regulacyę rzek, melioracyą gruntów i zalesienie pustych obszarów; 6) aby rozkład ciężarów krajowych, powiatowych i gminnych czyniony był proporcyonalnie do płaconych podatków.

Rezolucya doradza w końcu zakładanie kas pożyczkowych i zbożowych składów, ostrzegając przed zaciąganiem pożyczek bankowych i lichwiarskich.

Referat o sprawach szkolnych przypadł w udziale p: Ustyanowiczowi, redaktorowi humorystycznego pisma *Zerkało*. Mówca ten przemawiał jeszcze namiętniej od poprzedniego. Popierana przez niego rezolucya żąda: 1) reorganizacyi systemu naukowego w szkołach ludowych i seminaryach nauczycielskich w duchu, odpowiadającym rolniczym i przemysłowym potrzebom kraju; 2) zniesienia polskiego języka wykładowego w szkołach ludowych, w których liczba ruskich dzieci jest przeważającą, jako też zniesienia przymusowej nauki języka polskiego w szkołach ludowych z językiem wykładowym ruskim; 3) odwołania tych inspektorów okręgowych we wschodniej Galicyi, którzy nie znają dostatecznie języka ruskiego; 5) zmiany ustawodawstwa krajowego w duchu równouprawnienia językowego w szkole; 6) zniesienia rozporządzenia o języku polskim, jako urzędowym w szkołach ruskich.

P. Awdykowski, współpracownik *Słowa*, poruszył sprawę klasztoru bazylianów w Dobromilu, oddanego, jak wiadomo, w zarząd jezuitów. Żadna z dotkniętych na wiecu kwestyj nie wzburzyła umysłów wiecowników do tego stopnia, jak ta właśnie. To też wśród niesłychanej wrzawy i pogróżek przeciw jezuitom przyjętą została z zapałem uchwała, domagająca się: 1) niezwłocznego odebrania jezuitom klasztoru dobromilskiego; surowego zastosowania ustawy wyznaniowej, aby sprawy, podlegające wyłącznie autonomii cerkwi ruskiej, rozstrzygane były bez interwencyi władz drugiego kościoła lub obrządku.

Przystąpiono wreszcie do odczytania rezolucyi w sprawach prawno-politycznych. Uzupełniał ją i rozbierał w pięknej przemowie prof. Wachnianin, u którego podnieść jeszcze należy znajomość form parlamentarnych i spokój w traktowaniu rzeczy. Szkoda, że upadł przy wyborach do sejmu.

Uchwała w sprawach prawno-politycznych jest bardzo obszerną. Kreśli ona dzieje Rusi halickiej od chwili przyłączenia jej do Austryi, przypomina wszystkie patenty i manifesty cesarskie, poręczające rusinom swobody narodowe i religijne, w końcu zaś oświadcza, że 1) rusini galicyjscy skazani są na „majoryzacyą" ze strony polskiego żywiołu we wszystkich sprawach, dotyczących najżywotniejszych narodowych i ekonomicznych interesów; 2) że rusini nie są w stanie uzyskać na drodze ustawodawczej praw, potrzebnych do rozwoju narodowości; 3) że sejm galicyjski w którym rej wodzi stronnictwo rusinom nieprzychylne, wydaje ustawy zinteresami ludności ruskiej sprzeczne, które nadto budzą uzasadnioną obawę, że polacy zdążają systematycznie do całkowitego obezwładnienia ruskiego narodu w Galicyi; 4) że rusini ani w części nie korzystają z tych swobód konstytucyjnych, jakiemi cieszą się inne ludy Austryi; 5) że większa część ustaw i rozporządzeń, dotyczących używania języka ruskiego w sądach i urzędach w ruskiej części Galicyi, niemniej w szkołach ludowych, albo zupełnie nie jest wykonywaną, albo tylko połowicznie.

Rezolucya wspomina następnie o usiłowaniach nieżyjących już posłów, wicemarszałka Ławrowskiego, rusina, i Kornela Krzeczunowicza, polaka, mających na celu pojednanie dwu zwaśnionych narodów i obmyślenie punktów *modi vivendi* między nimi. Do tegoż celu zmierzał również wniosek posła Kamińskiego, postawiony w sejmie w r. 1875. Usiłowania te poszły, jak wiadomo, na marne... Dla tego też wiecownicy zwracają się wprost do rządu i żądają (dosłownie):

„*Wysoke c. k. centralne prawytelstwo zwołyt w witpowiednij dorozi postaratyś o wydanie ustawy, kotraby hałyckim rusynam, zistajuczym w menszosty w reprezentaciji krajewij, zaporuczyła połne riwnouprawnenie w ich narodno-połytycznim żytju i kotraby na budusczce tworyła sostawnu czastj statuta krajewoho*".

W szczególności zaś domaga się rezolucya od rządu, aby władzom krajowym przypomniał wszystkie rozporządzenia, dotyczące języka ruskiego, aby od urzędników wymagał dokładnej znajomości tego języka i aby w ruskich pismach urzędowych używano ruskich liter.

Rezolucya zwraca się następnie do samychże rusinów, wzywając ich, aby zakładali na prowincyi powiatowe rady polityczne dla legalnej obrony praw swoich narodowych i aby z praw, przysługujących językowi ruskiemu, korzystali przy każdej sposobności.

W końcu wzywa posłów ruskich, których jedynie uważa za legalnych przedstawicieli narodu ruskiego, aby w sejmie poczynili odpowiednie do uchwał wiecowych wnioski, gdyby zaś większość obecnego sejmu okazała się dla żądań ruskich nieprzychylna, aby wystąpili z niego i złożyli mandaty.

Przy każdym punkcie programu wiecowego zabierał ktoś głos z obecnych, przemawiali także i włościanie — niektórzy bardzo rozsądnie. Wogóle jednak dyskusyi nie było wiele. Barwa zgromadzenia była najwyraźniej antypolska.

Wypowiedzenie kilku jeszcze uwag o wiecu zachowujemy sobie na później.

Nalewajko.

*) Podczas ostatniej bytności cesarza w Galicyi jeden z wydziałów powiatowych wyasygnował marszałkowi swemu 500 złr. na sprawienie kontusza.

Z Heidelberga.

Czerwiec, 1883.

Dobre strony partykularyzmu niemieckiego. — Zjazdy i wystawy. — Narady szkolne. — Temata towarzystwa Jabłonowskiego. — Mickiewicz, Scherr i panna M. Ashurst. — Adamowicz. — Gizewiusz. — Studyum antropologiczne o litwinach. — Auszra. — J. Leciejewski. — Uniwersalność niemiecka. — Nowsze dzieła niemieckie: Giżyckiego Etyka, Schultzego Spirytyzm. — Wagner; przedstawienie Parsifala.

Przeklinany i zwalczany przez niemców partykularyzm miał niezaprzeczenie i dobre strony. Rozwijał życie umysłowe i artystyczne w takich punktach i takich zakątkach, do którychby z pewnością żywsze promienie cywilizacyi nie zajrzały, gdyby życie narodu ześrodkowane było w jednem ognisku stolicy (jak np. w Anglii i Francyi). Przekonać się o tem łatwo, zwiedzając mniejsze miasta niemieckie, które były stolicami niegdyś udzielnych, lub są jeszcze głównemi miastami mniej lub więcej niezależnych od Prus kraików. Karlsruhe, Darmsztat, Frankfurt, Homburg, Wiesbaden, Heidelberg, Baden-Baden i in., nie mówiąc już o Monachium, Dreznie i in-

---

Nadszedł wielki post. Wielki post, na wsi, dla starych i osłabionych, to najkrytyczniejszy czas. Trzy dni je się z solą, czasem i cały post, albo pół postu. Gotuje się woda na rano, woda na kolacyę, a na obiad suchy kawałek chleba. Nie warto trzy razy gotować, dzień taki krótki!

Jeżeli już stary ma umrzeć z osłabienia, to z pewnością zrobi to po wielkim poście.

Nie można zapewnić, żeby Jakóbkowa miała takie skomplikowane przypuszczenia, ale jeżeli zupełnie przypadkowo, przyszło jej na myśl, że post dziada do reszty wycieńczy, to jakże się biedna zawiedzie!

We dworze właśnie w wielki post takim starym dobrze: wszystko, co nie zjedzą państwo, dostaje się im. Jakóbek zjadał codziennie najsumienniej wszystkie resztki mięsiwa.

Baba za głowę się brała. On przez całe życie swoje nie zjadł tyle mięsa. I ta uwaga była rzeczywiście bardzo słuszna. Dziad oblizywał się i jadł. Mówił, że mu się przykrzy leżeć w łóżku. Kto wie, czy nie dla rozrywki tak „wecował."

Werunia nosi mu garnuszki i robi uwagę, że dziad się chyba wypasie, taki ma apetyt.

— Co on zje proszę pani! Ile razy zajrzę do kuchni zawsze gębą rusza; jak nie strawę, to chleb wecuje.

Jakóbowa tylko bokiem spoglądała na garnuszki. Ale zrobiła prawdziwą scenę, gdy w piątek staremu zapomnieli dać mleka.

— Zać że ja takiemu staremu dam z sołą! — wykrzykiwała.

W kącie, kiedy nikt nie widział, podzieliła się tem mlekiem.

Werunia jednak usiłuje, żeby baba nigdy nie nosiła garnuszków.

Przy końcu wielkiego postu, mimo mrozów, Jakóbek wylazł z pod pierzyny. Pomagał nawet żonie przykrywać kartofle w dole, ale jej tem wcale nie rozbroił.

— No — mówi Jakubowa ze zwątpieniem — po takiem przezimowaniu, to on gotów z dziesięć lat żyć. Róbże tu teraz, co chcesz i martwij się nim.

Zmartwienie nie przeszkodziło jednak także wyjeść się w święta. Objedli się co prawda wspólnie, ale dla dziada nie było to „pirszyzną;" baba po długim poście rozchorowała się doskonale. Stary siedział przy niej i patrzył z przestrachem.

— Matko — mówi — może ty z tego nie wyjdziesz, tak strasznie jęczysz.

Baba zerwała się na równe nogi.

— Czyś ty zwaryował! — krzyknie i dalej w płacz. Nastajesz na mnie, sprzykrzyłam ci się, a cobyś ty sobie za radę dał, trupie, bezemnie!

Skrzyczała dziada i do łóżka się już nie położyła. Werunia zaręcza, że Jakóbka ze strachu wyzdrowiała.

Dziś stary wygląda lepiej, niż przed dziesięciu laty. Oprócz skrobania kartofli wynalazł sobie drugie zajęcie: zamiata, gdzie tylko może; jak pozamiata kuchnię i alkierz, idzie na dziedziniec. Mruczy nieraz rano, kiedy cicho na dworze:

— Oto wiatru niema, nie wiem, co będę zamiatał.

Kontent, gdy mu liści nawieje i gałęzi, aż się spoci przy swojej pracy. Swoją drogą gderze cały dzień, jeśli mu kto rzuci szmatę, słomę, na podwórku.

— Będę po was zamiatał!

Jeżeli dziad nie ma 105 lat, to wiele jest prawdopodobieństwa, że się ich doczeka; w każdym razie „obróci mu się" jeszcze kilka razy. Pytanie, kto będzie pochowany za te pieniądze, co Jakóbka w skrzynce chowa.

Onaby przysięgła, że Jakóbek...

X. X.

nych, jaśniały w ciągu dziejów mniej lub więcej długo, jako punkta środkowe; a chociaż dzisiaj niektóre z nich są po prostu miastami okręgowemi lub powiatowemi, kryją jednak w sobie pamiątki i ślady dawnej wielkości: piękne gmachy, duże biblioteki, muzea, ogrody i wogóle odznaczają się znamionami, nadającemi im cechę wyższą od zwykłych miast prowincyonalnych. Taki np. skromny Darmsztat posiada pół miliona tomów liczącą bibliotekę, wcale ładne muzeum obrazów, starożytności i przyrodnictwa. W bibliotece znajduje się niemało rękopisów i starych druków; w muzeum jest kilka oryginałów Rembrandta, Rubensa i innych mistrzów; z rzeczy bliżej nas obchodzących znajduje się tam wielkich rozmiarów portret w całej postaci Maryi Leszczyńskiej, pędzla van Loo. Frankfurt nad Menem zdobył się na tak wybornie i tak pięknie urządzony gmach opery, że nie wiem, czy Europa drugi podobny dźwignęła.

Taki Heidelberg, liczący niespełna 30 tysięcy mieszkańców, posiada, oprócz uniwersytetu i należących do niego zbiorów i bibliotek, dobrze zachowane zwaliska niezmiernie pięknego i obszernego zamku; w jednem z jego skrzydeł mieści się wcale zajmujące muzeum, obfitujące szczególnie w portrety ludzi historycznych; w tej liczbie dwa więcej nas obchodzące: dwóch żon kurfirsta Karola Filipa, Radziwiłłówny, wdowy po Brandeburczyku i Lubomirskiej, córki Józefa Karola.

Nie zapuszczam się w dalsze katalogowanie zabytków i zbiorów, przekazanych współczesnym niemcom zjednoczonym przez okres „Germanii w podziałach,“ albo partykularystyczny, jak go tu nazywają. Notuję tylko fakt i zwracam uwagę czytelnika na ten objaw psychologiczny, że spółcześni patryoci niemieccy z największą nienawiścią i wzgardą piszą i mówią o dobie minionej, wydobywając na jaw same najgorsze jej strony, a przemilczając o lepszych, które niezawodnie były. Cóż dziwnego, że u nas tak trudno się zdobyć na sąd przedmiotowy o ludziach i czasach, kiedy w wysoce uczonych Niemczech przeszłość co lat dziesięć z innego zupełnie stanowiska sądzona i przesądzana bywa, a zawsze z namiętnością i zaślepieniem.

Wracam do naszego miasteczka. Dawna rutyna partykularyzmu obdarzyła je ostatniemi czasy kilku zjazdami, które chwilowo urozmaiciły spokojne życie tutejsze. Mieliśmy zjazd starokatolików, później ultramontanów, nareszcie cukierników i ich wystawę. O starokatolikach pisano niedawno obszernie w *Prawdzie*, więc nie widzę potrzeby rozwodzenia się nad dążnościami i ruchami tej garstki niedoszłych protestantów. O zabiegach ultramontańskich lepiej też zamilczeć, podobne są one do siebie na całej kuli ziemskiej: piosenka ich wszędzie jednaka, tylko że nie wszędzie z równą jak u nas ochotą ludzie tańczą pod jej melodyę; tutaj zarzucali oni sieć na demokratów południowo-niemieckich, wmawiając im, że tylko w połączeniu ze stronnictwem ultrarzymskiem dojdą do urzeczywistnienia swych dążeń. Stara sztuka! W gruncie chodzi im o wydarcie szkół niższych z rąk rządu i uczynienie ich wyznaniowemi, a zatem o przywrócenie stanu z przed „kulturkampfu,“ co. zdaje się, nie ma zgoła widoków powodzenia.

Kwasy i gorycze ucierań się kościelnych osłodziła nam śliczna wystawa cukiernictwa i połączonych z niem gałązek przemysłu.

Okazała ona naocznie, jak to w naszych czasach najdrobniejsza odrośl przemysłu łączy się z mnóstwem innych i sięga aż w strefy sztuk pięknych. Obok wyrobów z cukru i mąki, widzieliśmy wystawę blacharstwa, rzeźby na drzewie, litografii, maszyn i maszynek, krzesłów itd., o ile, naturalnie, przykładają się te zawody do upiększenia cukierków, konfitur, tortów i innych słodkich rzeczy. Najpiękniejszym dniem kilkodniowej tej wystawy był ostatni: cukiernicy tutejsi zrobili składkę i wieczorem oświetlili ogniami bengalskimi zamek. Wygląda on wtedy prawdziwie pięknie i fantastycznie, jak zaczarowany pałac z tysiąca i jednej nocy, albo jak płonąca Walhalla podczas „zmierzchu bogów.“

Odbywały się tutaj niedawno bardzo zajmujące narady gimnazyalne. Dyrektor zaproponował rodzicom i opiekunom uczniów swojego zakładu, aby się zeszli na wspólną pogawędkę o stanie i potrzebach młodzieży szkolnej. Rozprawiano długo i poważnie; każdy gość wypowiadał otwarcie swe zdanie o urządzeniu gimnazyum, radził, chwalił, ganił, projektował; dyrektor słuchał, zapisywał, czasem odpowiadał, a wkrótce potem ogłosił protokóły posiedzeń w miejscowym dzienniku. Uwagi rodziców nie przejdą bez śladu: dyrekcya uwzględni wiele życzeń i będzie lepiej niż było. Nie potrzebuję wskazywać, ile takie porozumiewanie się władz szkolnych z publicznością przynosi korzyści zakładowi i jaki szacunek wzbudza dla pedagogów, którzy szukając wskazówek i rad ogółu, nie odrywają się od społeczeństwa na to, aby mu swoje fantazye tylko lub rozkazy narzucać.

Ogólny stan polityki wewnętrznej przy obecnym kierunku berlińskim jest niepocieszający i niewesoły. To szczęście niemców, że mają urzędników, nauczycieli i wogóle ludzi w administracyi i sądach lepszych od prawa pisanego i od natchnień stołecznych; łagodzi to szorstkość położenia obecnego, ratuje szkołę i daje nadzieję lepszego jutra. Można powiedzieć, iż życie polityczne wewnętrzne obumarło tutaj zupełnie. Tylko praca umysłowa, teoretyczna ciągnie swą przędzę bez przerwy: zjazdy uczonych pedagogów, duchownych, wystawy, posiedzenia towarzystw — to jedyne objawy ruchu społecznego. Książki rosną tu zawsze jak grzyby po deszczu: rok 1882 zapisał ich 14,794, nieco mniej niż w r. 1881, ale zawsze trzy razy więcej niż w Anglii, która wydrukowała w roku 1882 dzieł 5124.

Zaczerpnijmy z tego oceanu kilka kropel, obchodzących nas nieco bliżej. Wiadomo czytelnikowi, że przeszło sto lat temu (1774), wojewoda nowogrodzki Józef Aleksander Jabłonowski założył w Lipsku towarzystwo uczone swojego imienia; ogłasza ono co roku temata z działów humanistycznych i przyrodniczych i udziela premij za najlepsze rozprawy, które mogą być pisane w językach łacińskim, niemieckim lub francuskim, a często odnoszą się do rzeczy polskich lub słowiańskich, przez wzgląd na narodowość fundatora. Otóż na lata przyszłe, w dziale humanistycznym, następne zadano tematy: na r. 1883: O przeludnieniu miast starożytnych; na 1884: Dzieje i opis granicy narzecza górno - niemieckiego od dolno-niemieckiego na wschodzie Odry; na r. 1885: Regesta królów polskich od r. 1295—1506; na 1886: Gramatyka języka dolno-łużyckiego. Rozprawa winna być nadesłana sekretarzowi Towarzystwa najpóźniej 30 listopada każdego roku i opatrzona, jak zwykle, ukrytem w kopercie nazwiskiem.

W jednym z poprzednich listów pisałem o przekładzie *Pana Tadeusza* przez Lipinera. Otóż znany u nas Jan Scherr, w jednym z tygodników niemieckich zamieścił niedawno zajmujące studyum o tym utworze Mickiewicza, który uważa za najwyższy w poezyi słowiańskiej i wogóle za jedno z arcydzieł piśmiennictwa powszechnego. Jednocześnie i anglicy poetą naszym się zajmują: panna Maude Ashurst przełożyła wierszami *Wallenroda* (Londyn, u Biggsa i Trübnera); ma też wkrótce ukazać się gramatyka polska dla anglików, przez Morfilla, należąca do całego szeregu gramatyk narodów europejskich.

Niedawno umarł w Wilnie ostatni podobno profesor byłego uniwersytetu wileńskiego, Adam Ferdynand Adamowicz (maj. 1881). Był to człowiek prawy i niepospolity uczony: oprócz uprawiania medycyny i weterynaryi, pracował dużo nad historyą polską i niejedną pracę drukował w *Bibliotece Warszawskiej*. Świeżo w *Leopoldinach* (tom XVIII, 1882) ogłoszono życiorys jego, pióra prof. L. A. Neugebaura, według materyałów, udzielonych przez lekarza wileńskiego p. Hipolita Kozłowskiego. Na końcu biografii umieszczono spis prac medycznych i weterynaryjnych, mieszczący numerów 35; pominięto tam pisma i rozprawy historyczne i inne, nienależące do zawodu lekarskiego; należałoby, aby ktoś zadał sobie trud przejrzenia, spisania i ocenienia tych przyczynków.

Edward Gizewiusz zapracował też na obszerniejszy życiorys. Należałoby też, aby ktoś z rodaków naszych, zamieszkały w okolicach Tylży, zebrał zasoby biograficzne, oraz postarał się przejrzeć i zużytkować pozostałości rękopiśmienne i ocenił prace drukowane zasłużonego tego pracownika. Wydawnictwo Towarzystwa literackiego litewskiego w Tylży zamieściło w tomie I (str. 138—160) rys żywota Gizewiusza; trzebaby go uzupełnić wykazaniem prac i zasług jego w zakresie rzeczy polskich i litewskich, oraz skorzystać ze świeżo wydanej biografii jego przez Schiekoppa (w Tylży u Reyländera).

Zdaje mi się, że nie zwrócono u nas uwagi na dorpacką monografię o litwinach z punktu antropologicznego. Napisał ją Brennsohn (*Zur Anthropologie der Litauer*, Dorpat, 1883), zachęcony przez dorpackiego profesora antropologii, Stiedę. Zbadał on naukowo stu litwinów (60 mężczyzn i 40 kobiet), podał wymiary i szczegółowy opis cielesnej ich budowy. Rzecz bardzo ciekawa, oparta na dostrzeżeniach bezpośrednich i umiejętnie dokonanych. Według obliczenia prof. Kurschala (w jego gramatyce języka litewskiego, str. 3). w r. 1864 było w Prusiech wschodnich litwinów 146.312; Brennsohn podaje obecnie cyfrę 137,000, widać więc zmniejszenie o dziesięć blisko tysięcy; w Polsce i Rosyi liczą obaj około półtora miliona litwinów, w tej liczbie około 624 tysięcy żmudzinów. Przed kilku laty podobneż opracowanie antropologiczne łotyszów ogłosił w Dorpacie Wäber, również pod kierunkiem Stiedy (*Zur Anthropologie der Letten*).

Mówiąc o litwinach, wspomnieć winienem o nowym miesięczniku litewskim, wydawanym w Ragnecie; nazywa się *Auszra* (jutrzenka), kosztuje rocznie 2 marki; zeszyt obejmuje około 30 stronic w formacie małej ósemki; treść bardzo urozmaicona; dążenie—budzenia żywotności plemienia litewskiego. Wyszło dotąd zeszytów dwa.

Nazwisko p. Jana Leciejewskiego znane jest czytelnikom *Rozpraw Akademii krakowskiej*, jako autora pracy o gwarze miejskiej Górki i okolicy (tom IX). Obecnie otrzymujemy jegoż obszerną dysertacyę *O języku psałterza floryańskiego* czyli Małgorzaty, napisaną po niemiecku, na stopień doktorski, w Wrocławiu, a powtórzoną w *Archiwum* Jagicza (tomie VI). Rzecz opracowana systematycznie i gruntownie; cieszymy się nadzieją, że autor ogłosi ją wkrótce po polsku.

Ruchliwe umysły niemieckie nie zasklepiają się granicami ojczyzny swojej, lecz ciągle i systematycznie badają przyrodę i ludzi obcych, najdalszych nawet krajów, a także ich przeszłość, nie zapominając zresztą i o własnych sprawach. Ten rys kosmopolityczny piśmiennictwa niemieckiego jest jednym z najpiękniejszych i nadaje mu znaczenie uniwersalności, jakiej z pewnością nawet bogata literatura angielska nie posiada. Podróż po najmniej znanych okolicach kuli ziemskiej, odgrzebywanie zwalisk i nabytków sztuki staro-

żytnej, badanie przyrody na wszystkich końcach ziemi, zdawanie sprawy o najświeższych objawach myśli i wyobraźni obcej, podsłuchanie zatargów politycznych lub narodowościowych we wszystkich częściach świata, szukanie dróg handlowych, stacyj przemysłowych itd. — wszystkiem tem zajmuje się niemiec z całem oddaniem, bada, rozpytuje, jeździ, porównywa, szpera i zaraz opisuje. Ciekawy jesteś czytelniku, co się dzieje w prowincyach nadbaltyckich, masz, jako odpowiedź, kilkanaście artykułów w czasopismach i z dziesiątek broszur odnośnych. Jak indyanie mają nazywać cesarzowę swoją Wiktoryę, jaki hymn na cześć jej śpiewać? I na to Max Müller ma gotową odpowiedź: podaje nazwę szczero-sanskrycką, a „God save the Queen" tłomaczy na język wedów. Czego chcą szwedzi, a czego finnowie w Finlandyi? Drugi znowu Max o tem cię zawiadamia; nazywa się Buch, napisał *Finnland und seine Nationalitätenfrage*. Co matki i piastunki opowiadają dziatwie w Słowiańszczyźnie południowej? Otóż mamy spory tom, ogłoszony świeżo w Lipsku przez Kraussa: *Sagen uud Märchen der Südslaven*, 109 bajek, po większej części niedrukowanych dotąd; wieje z nich ton legendowy, tak dobrze nam znany z bajek nad Wisłą, pod Karpatami i nad Gopłem; niektóre niby żywcem z naszych bajarzów przetłomaczone. Co robi, czego chce negus abisyński? Jest i na to odpowiedź w tylko co wydanej podróży Rohlfsa: *Meine Mission in Abessinien*. Nie mogę nie zanotować tu anegdoty, którą w książce tej wyczytałem. W obecności Rohlfsa przybywają do cesarza Habeszu misyonarze protestantcy z prośbą o pozwolenie nawracania w jego krajach. Czy jesteście chrześcianami? zapytuje negus. — Tak. — My tu jesteśmy także chrześcianami; kogoż więc będziecie nawracać? —Żydów—odpowiadają misyonarze.—Alež ich tu prawie nie ma. A kędyście do mnie przyjechali? — Przez Egipt. — A jakiego wyznania tam są ludzie? — Mahometańskiego. —No, to jedźcie do Egiptu, a gdy nawrócicie mahometan, wtedy przyjeżdżajcie tutaj chrzcić żydów. Tak odprawieni gorliwi krzewiciele protestantyzmu musieli Abisynię opuścić. Ma się rozumieć, że nie o żydów im chodziło, ale o samych abisyńczyków; wiedział o tem dobrze negus, ale postanowił zażyć ich z mańki.

Wiadomo zapewne czytelnikowi, iż księgarz Prochaska w Cieszynie przedsięwziął wydanie monografij o ludach monarchii austryackiej; w szeregu ogłoszonych już tomów znajduje się znany opis polaków i rusinów przez Szujskiego. Obecnie przybywa obraz czechów, skreślony przez Jarosława Vlacha i Helferta, p. t. *Czecho-Slaven*. Drugi z autorów opowiada o życiu umysłowem, pierwszy o dziejach i stanie obecnym pobratymców naszych; ciekawy jest tu rozdział ostatni, bardzo obszerny, o autentyczności rękopisów królodworskiego i innych, poddanych pod wątpliwość, zabytkach staroczeskich.

Że p. Giżycki jest z pochodzenia polakiem, to rzecz pewna, bo pisząc po niemiecku, nie zaniedbuje nawet ż odznaczać, a że i szlachcicem polskim, to widać z przyrostka *von*. Jest on docentem filozofii na uniwersytecie berlińskim; niemcy nazywają go *Giciki*; pisuje gruntowne rozbiory dzieł filozoficznych w tygodnikach krytycznych; czy ogłosił jaką oddzielną pracę pierwej, nie wiem; obecnie wystąpił z książeczką małej objętości, ale wielkiej wagi wewnętrznej p. t. „Zasady moralności" (*Grundzüge der Moral*, Lipsk, 1883). Pracę tę stowarzyszenie imienia Lessinga w Berlinie uwieńczyło nagrodą konkursową w styczniu r. b.; sędziami byli: profesorowie Herm. Grimm i Wilh. Scherer oraz głośny poseł na sejm, obecnie amerykanin, Edw. Lasker. Na konkurs nadesłano ni mniej, ni więcej, jak 63 rozpraw; niektóre nadeszły nawet z Anglii i Ameryki. Zadanie brzmiało: „Napisać dostępny wykład praw moralnych, który, wychodząc z zasad jednolitych i *opierając się wyłącznie na faktach poznania naturalnego*, służyćby mógł jako przewodnik postępowania w głównych kierunkach żywota ludzkiego." Giżycki zastosował się do tego programu i na stu kilkudziesięciu stronicach potrafił treściwie i jasno wyłożyć naprzód rozmaite poglądy etyczne i ich krytykę a w drugiej części zasady moralności: o obowiązku, cnocie, o powinnościach indywidualnych i społecznych, wreszcie o pobudkach postępowania. Wszystko oparł na podstawie czysto ludzkiej, świeckiej, wychodząc z zasady, że nawet i dla wierzących dobro obowiązującem być musi nie dla tego, że bóstwo tak nakazuje, lecz dla tego, że pierwszym i głównym przymiotem jego, w pojęciu wierzących, jest dobroć. Stanowisko autora charakteryzuje ustęp ostatni (str. 138): „Podwaliną moralności jest nietylko sumienie, albo interes własny, albo też życzliwość, albo popęd towarzyski, współczucie, rozum, lub jakakolwiek siła pojedyncza w człowieku, ale jest nią sam cały, czujący, pragnący i myślący człowiek."

Godną polecenia jest również najnowsza praca Fritza Schultzego, znanego mi z bardzo dobrej rozprawy o fetyszyzmie; zajmuje się ona spirytyzmem (*Die Grundgedanken des Spiritismus und die Kritik derselben*, Lipsk, 1883), bada jego cel, dzieje, zasady, zestawia mistycyzm z krytyką filozoficzną i wreszcie rozwodzi się nad powstaniem i rozwojem wiary w duszę i duchy, w świat nadzmysłowy i pośmiertny. Rzecz napisano trzeźwo i zajmująco.

Wybieramy sie tu na Parsifala do Bayreuthu. Ogłoszono dwanaście przedstawień tego misteryum; pierwsze ma się odbyć 8 lipca, a następne co drugi dzień aż do końca tegoż miesiąca. Nagła śmierć młodej a głośnej primadonny Parsifalowej, pani Kindermann, a co najważniejsza, brak samego mistrza, zmniejszą zapewne świetność widowiska i ostudzą zapał fanatyków; ażeby temu zapobiedz, gorliwi Wagneryanie zakładają nowe stowarzyszenie imienia mistrza swojego; opłacając cztery marki rocznie, można zostać jego członkiem i mieć pewne przywileje, a przedewszystkiem cieszyć się pewnością, że się przyłożyło do ratowania tradycyi bayreuckiej.

Nieznanym zapewne u nas jest fakt, że mało brakowało, ażeby Wagner napisał operę p. t. *Kościuszko*. Opowiada o tem Reissmann w życiorysie jego (*Unsere Zeit*, 1883, zesz. 4). Około r. 1833 poznał się Wagner z H. Laubem, ten mu proponował swój tekst do opery, osnuty na przygodach naszego bohatera, ale Wagner, który nigdy nic nie chciał komponować do cudzych tekstów, odmówił.

Jan Karłowicz.

NOWY PLAN RESTAURACYI SPOŁECZNEJ.

Nie przypuszczał zapewne nigdy p. Łapicki, żeby poglądy jego na stosunki gminne okazały się dla kogokolwiek zbyt radykalnymi. A jednak p. Aleksy Hempel *), „zwiedzając obce kraje i widząc liczne a nowe dla nas pożytki, osiągane przez tamtejszych mieszkańców," szukał ich przyczyny i znalazł ją: „w danych miejscowych i istnieniu pożytecznych przepisów prawa..." Ideałem p. Hempla jest samorząd angielski, tak przynajmniej zapewnia czytelnika, ale najlepiej mu się w tym samorządzie podoba zasada: bezpłatnego pełnienia obowiązków. „Dla zapewnienia instytucyi gminnej pożytecznego dla niej rozwoju"— życzy on sobie powołania członków gminy do bezpłatnego pełnienia obowiązków sędziego i wójta. Naturalnie monopol urzędów gminnych dostałby się wtedy właścicielom ziemskim, bo to oprócz „wyrabiania dojrzałości politycznej," „skarbi szacunek członkom zarządu" i — co najważniejsza— „zasłania od wpływu poglądów socyalnych, które ruguje uznane przez ogół znaczenie prawa." Natomiast nie zgadza się p. Hempel na naśladowanie anglików w sprawach dobroczynności publicznej, bo „powstawanie jej zakładów odbiera siły do walki z przeciwnościami." A wszystko to ma na celu (ktoby się domyślił!) polepszenie bytu włościan, „klasy, usuniętej od dobrodziejstw, z jakich na mocy istniejących ustaw korzystają inni mieszkańcy kraju." Co za czułe serca mają ci landlordowie polscy!

Dla polepszenia dobrobytu włościan, p. Hempel radzi usunięcie przepisu, zabraniającego dzielić osady włościańskie na części mniejsze niż 6 morgów, twierdząc, że to zapobiegnie zbytecznemu rozdrabnianiu gruntów. Na nieszczęście nie objaśnia nas autor, jakim to się stanie sposobem, co byłoby bardzo ciekawem. Drugim środkiem ma być: „pozostawienie własności włościan w znaczeniu prawa, które widzi w niej wyjawienie się woli człowieka bez szkody innych osób," co w przekładzie na język polski oznacza: pozwolenie nabywania gruntów włościańskich osobom wszystkich stanów. W tym samym wypadku autor nie zgadza się z p. Łapickim, który żąda również zniesienia odnośnego przepisu, ale pod zastrzeżeniem, że grunta pomieszczone w tabeli likwidacyjnej nie mogą być włączane do obszarów dworskich. Różnią się także obaj w sprawie parcelacyi: p. Łapicki jest jej zwolennikiem, p. Hempel zaś utrzymuje, że pociąga ona za sobą „ogromne szkody," ponieważ zmniejsza ilość gospodarstw wiejskich, które „mocą ciągłego rozwoju wiedzy (!) skutkiem produkcyi wywozowej stanowią główne bogactwo kraju." Jeżeli parcelacya przyjmie większe rozmiary, zabraknie tych magazynów i wytworzy się proletaryat.

Ale autor dba nietylko o dobrobyt chłopków; pragnie on także podnieść ich pod względem moralnym: w tym celu proponuje nałożenie składki gminnej na wyrobników i parobków po 15 kopiejek od głowy, jako „środek podnoszący godność człowieka." Odrzuca również materyalistyczną zasadę opodatkowania członków gminy w stosunku do zamożności, a więc i podatek od morga, a natomiast zaleca: „oznaczenie składki gminnej i rządowej wedle ilości głosów," czyli poprostu podatek pogłówny, opierając się na zdaniu prof. Miklaszewskiego (także powaga!) I w tym względzie p. Łapicki rozchodzi się ze swym krytykiem, jakkolwiek nie jest on przyjacielem podatku od morgi, ale jako rozumny i logiczny konserwatysta (rzadki, co prawda, u nas okaz) pojmuje, że kto chce mieć więcej praw—więcej płacić powinien. Żeby chociaż tę zasadę samorządu angielskiego przyswoił sobie p. Hempel, gdy tymczasem chce on w radzie gminnej każdemu dworowi dać przedstawiciela na równi ze wsią. Rada gminna ma zastąpić istniejące dziś ogólne zebrania, których szkodliwość — jako ogólnych schadzek ludności— uznała teorya (jaka?)

Umoralnić chłopków może również szkoła, ale... tylko szkoła gromadzka, gmina zaś jest szkodliwą, a w najlepszym razie nie daje żadnych rezultatów. Czytelnik, niewtajemniczony w „arcana" stosunków wiejskich, nie zrozumie tej miłości dla szkółki gromadzkiej, postaramy się więc rzecz tę wyjaśnić. Szkoła gminna utrzymywaną jest ze składek gminnych, a gromadzka ze specyalnej składki, nałożonej na członków gromady—jasne? Jeszcze

*) *Przegląd krytyczny pracy Juliana Łapickiego* p. t. „Stosunki gminne w Królestwie Polskiem i właściwy kierunek ich rozwoju oraz potrzebne jej uzupełnienie." Warszawa.

nie? A więc: pp. właściciele większych posiadłości do gromady nie należą i w składkach na szkołę nie uczestniczą — teraz jasne!

Dla dokładnego poznajomienia się z publicystycznymi poglądami a zarazem z retoryką p. Hempla, przytaczamy jeszcze zdanie jego o żydach. Autor wzdycha do tych czasów, kiedy właściciel lub wójt gminy zabronić mogli włościanom wszelkich stosunków z żydami a motywuje swoje przekonania tak: „Jeżeli zatem dotychczas jeszcze nie mogła objawić się w rzeczywistości prawda, że istnienie żydów w narodach, powiększając różność szczegółów, ma znaczenie zlania się w jedność dla utworzenia ogółu bogatego treścią...“ to należy stosować względem nich prawa wyjątkowe. Ciekawa rzecz tylko, na jakiej drodze w takim razie nastąpi owo „zlanie się“—czy za pomocą *polewania* wodą święconą, czy też za pomocą *lania* kijem po głowach i grzbietach żydowskich?

A teraz kilka próbek filozofii:

„Jeśli dla prawdy rzeczywistej życia człowieka w społeczności szukamy prawa istnienie jej zapewniającego, wtedy patrząc na miliony osób ją składających, w rozwoju ich ducha znaleść je musimy, jako i wyrażenie jego w rzeczywistości“ — to ma oznaczać, że państwo, złożone z różnych społeczności, różne prawa mieć musi. A oto określenie prawa: „prawo, jako objawienie w rzeczywistości ducha członków społeczność stanowiących, który żyjąc w danych stosunkach miejscowych od nich w części zależyć musi, wypływa z rozwoju tego ducha, przy uwzględnieniu danych miejscowych.“ Takim stylem napisana jest cała broszura, dlatego właśnie starałem się o ile możności przemawiać własnemi słowy autora, bo nieraz trudno nawet zrozumieć, co ma na myśli.

P. Hempel uraczył nas jeszcze traktacikiem o powstawaniu własności prywatnej i krytyką ustroju gminy rosyjskiej, opierającą się znowu na krytyce p. Łapickiego. Obaj autorowie na podstawie artykułu dziennikarskiego sądzą o znaczeniu tak ważnej instytucyi, nie znając wcale ani jej organizacyi, ani literatury tego przedmiotu. Jako przykład niewiadomości w tym względzie dość przytoczyć, że podział peryodyczny gruntów uważają za konieczny atrybut gminy rosyjskiej, gdy tymczasem np. istnieje typ północny gminy bez peryodycznego podziału ziemi; również podziały bywają rozmaite: peryodyczny, zasadniczy (*korennoj*) itd. o tem wszystkiem autorom ani się śniło. Zresztą rozdział o gminie rosyjskiej był w rozbieranej przez nas broszurze najzupełniej niepotrzebnym.

Przy końcu dołączony jest projekt prawa o urządzeniu stosunków włościańskich, pod względem niejasności mógłby śmiało rywalizować z urzędowymi utworami fantazyi kancelaryjnej.

J. L. P.

Ruch ekonomiczny.

Po głębokiej, niczem nieusprawiedliwionej drzemce, jaka od lat kilkunastu, a zwłaszcza kilku, zapanowała u nas w dziedzinie piśmiennictwa ekonomicznego, objawił się na tem polu w roku obecnym ruch niezwykły. Obok wielu artykułów dziennikarskich i broszur okolicznościowych wydano najprzód ponownie pisma Supińskiego, a następnie w szybkiej po sobie kolei kilka dziełek tłomaczonych.

Niedawno pomieściliśmy sprawozdanie z prac Iwaniukowa i Jevonsa; dziś znów wypada nam zaznaczyć świeżą nowość, a mianowicie: *Zasady ekonomii politycznej* Emila de Laveleye, profesora ekonomii uniwersytetu w Liége*).

Zadaniem ekonomii politycznej jest, podług autora, wskazanie: „w jaki sposób winni się ludzie uorganizować, czyli, inaczej mówiąc, jakie mają przyjąć prawa (religijne, moralne, polityczne, cywilne i handlowe), aby przez pracę dojść do jaknajzupełniejszego i najrozsądniejszego zaspokojenia swych potrzeb. Ekonomia polityczna jest więc zadaniem (?!) prawodawczem. Dąży ona do ideału tak samo, jak moralność, prawo i polityka.“

Z takiego określenia możnaby wnosić, że autor zakreśla państwu rozległe pole działalności w dziedzinie spraw ekonomicznych. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie: nie należy on wprawdzie do manchesterczyków czystej wody, gdyż wolnohandlowych swych zapatrywań nie doprowadza, jak oni do zbyt widocznych niedorzeczności, lecz w każdym razie domaga się od państwa w mniejszym lub większym zakresie wszystkich tych tak zwanych *wolności*, które pod pięknie brzmiącą nazwą kryją w sobie źródło wielu jarzm, dźwiganych już to przez narody całe**), już przez miliony słabych ekonomicznie jednostek***). Z tego zapewne powodu, poruszywszy wszystkie ważniejsze pytania z obrębu gospodarstwa społecznego, pominął Laveleye zupełnem milczeniem tak doniosłego dziś, zwłaszcza dla Zachodniej Europy, znaczenia kwestyę praw fabrycznych, nie chcąc, widocznie, ściągnąć na siebie z jednej strony niepopularności, gdyby się oświadczył przeciwko nim, z drugiej — na zarzut o niekonsekwencyą, gdyby stanął w ich obronie.

W ważniejszej zaś jeszcze *dziś dla nas* sprawie popierania rozwoju przemysłu przez państwo, wystąpił stanowczo przeciwko wszelkiej protekcyi, nawet czasowej.

Główniejsze przytem argumenty nowszych jej zwolenników bez ceremonii pominął, rozprawiwszy się wygodnie, choć powierzchownie, z przestarzałemi. Nie ustrzegł się jednak pomimo to w swych rozumowaniach sprzeczności, w które dość często w swem dziełku wpada. Twierdzi bowiem np. w obronie wolnego handlu, że kraje rolnicze nie powinny się starać za pomocą ceł ochronnych o rozwinięcie u siebie przemysłu, bo dla obywateli ich daleko jest korzystniej otrzymywać wzamian za produkta rolne wyroby przemysłu obcego tanio, niż nabywać wyroby własnego drożej. Z drugiej zaś strony w rozdziale, traktującym o „postępach rolnictwa“ mowi, że jego „podstawową zasadą jest zwrócić ziemi to, co się z niej bierze.“ Otóż występuje pytanie: jakim sposobem kraj, wywożący corocznie znaczną część produktów swej roli zagranicę, dla otrzymania od niej wzamian wyrobów przemysłu, może „zwracać ziemi to, co z niej bierze?“

„Protekcya wyradza rutynę — utrzymuje dalej autor. Przeciwnie, przemysłowiec, zmuszony (przez współzawodnictwo) do ciągłych ulepszeń, zdobędzie sobie targi całego świata, chcąc uratować swój targ krajowy.“

Bezwątpienia, tak by było, gdyby o ulepszeniu sposobów produkcyi i, co za tem idzie zwycięstwie w konkurencyi, stanowiły tylko dobre chęci przemysłowca, nie zaś jego siła finansowa i ekonomiczna. Ponieważ jednakże w rzeczywistości o rezultacie zapasów rozstrzyga zawsze ta ostatnia, więc przemysł początkujący kraju rolniczego, pozbawiony protekcyi państwa, musi zawsze uledz w walce z wyrobionym już przemysłem zagranicznym, korzystającym z większego kredytu i posiadającym znaczniejsze kapitały, doświadczeńszych kierowników, wprawniejszych robotników i gotową już klientelę.

W określeniu granic działalności władz publicznych stoi autor całkowicie na stanowisku Adama Smitha i powtarza za nim, że: „najpierw obowiązkiem państwa jest bronić społeczeństwo od napaści innych niezależnych narodów.“

„Następnie, powinno ono zabezpieczyć każdego członka społeczeństwa od złej woli i niesprawiedliwości innych jego członków.“

„Wreszcie, trzecim obowiązkiem państwa jest zakładać i utrzymywać pewne instytucye użyteczności ogólnej, których utrzymanie własnemi siłami nie leży w interesie pojedynczych członków lub małej ich liczby, ponieważ koszta utrzymania byłyby większe, niż korzyści, jakie pojedynczy członek może z nich odnieść.

Ostatecznie państwo, podług Laveleye'a jest „przedewszystkiem sędzią i żandarmem, lecz jest także inżenierem budującym drogi i przełożonym szkoły.“

Przejdźmy teraz do czystej teoryi.

Określając wartość, tak pomieszał autor to pojęcie z pojęciem użyteczności, że, gdybyśmy skąd inąd nie wiedzieli, iż dzieła Careya i Bastiata, których zasługą właśnie jest dokładne rozdzielenie tych pojęć, są mu znane, musielibyśmy przypuścić, że ich wcale nie widział. Wobec doniosłego znaczenia, jakie dokładne określenie wartości dla wszelkich systematów ekonomicznych posiada, wspomniany błąd Laveleye'a stanowi wielką wadę jego dziełka.

Nie lepiej też powiodło się autorowi wyjaśnienie powstawania kapitału.

„Kapitał, mówi on, rodzi się z oszczędności,“ objaśnia zdanie to w sposób następujący:

„Wytwarzam w ciągu jednego dnia tyle, że mogę żyć przez trzy dni; korzystam więc z dwóch dni wolnych, aby zrobić motykę, za pomocą której uprawię ziemię tak, że w krótszym czasie więcej mi wyda. W ten sposób zyskam więcej jeszcze czasu i będę mógł wyrobić więcej jeszcze narzędzi. Każdy postęp ułatwia mi możność wyrabiania coraz lepszych narzędzi.“

„Cała tajemnica tworzenia kapitału zawiera się w tym przykładzie.“

Bez najmniejszej wątpliwości! Tylko że, niestety, autor tajemnicy tej rozwiązać nie zdołał i z gotowego już rozwiązania swych poprzedników, niewiadomo dla czego, skorzystać nie chciał.

Pozytywną przyczyną tworzenia się kapitału nie jest oszczędność, lecz praca, skierowana ku wytworzeniu narzędzi, powiększających produkcyjną jej siłę. Gdybym bowiem, jak w powyższym przykładzie, nadmiar produktu pracy jednodniowej nad potrzebę jednej doby odłożył na dwie następne, lecz spożył go później, leżąc bezczynnie, to jakkolwiek zaszłaby taka sama oszczędność, jak w przytoczonym przez autora wypadku, kapitał by jednakże stąd nie powstał. Oszczędność więc w powstawaniu kapitału gra rolę uboczną, główną — praca umiejętnie użyta. W dalszych rozumowaniach swoich o tym przedmiocie mimowolnie wpada L. ciągle na trop prawdy, lecz wbiwszy sobie raz w głowę ową nieszczęsną oszczędność, gwałtem zbacza z drogi, przez co przeczy sam sobie.

„Oszczędzać, mówi np., jest to *odkładać bogactwa* na przyszłość; najlepszą jednak formą oszczędności jest *zużywać te bogactwa*

---

*) Z upoważnienia autora przełożył Sk. przejrzał dr. Jan Banzemer, Warszawa. Nakładem Gustawa Sennewalda, 1883 r.

**) Taki mianowicie skutek wywiera nieograniczona wolność handlu dla narodów zapóźnionych w rozwoju ekonomicznym.

***) Mamy tu na myśli klasę roboczą. Znaczna bowiem jej większość przy istnieniu tak zw. wolności pracy, w imię której potępia się wszelkie ograniczenia prawne samowoli kapitalistów, najczęściej nie może wywalczyć sobie własnemi siłami warunków bytu, zgodnych z dzisiejszemi wymaganiami ludzkości i postępu.

dla wytworzenia przedmiotów, które na przyszłość dadzą możność wytwarzania więcej rzeczy użytecznych, z mniejszym wysiłkiem.“

Z powyższego jasno wynika, że *odkładać bogactwa* jest to *zużywać je*.

Nie mając miejsca na wytknięcie wszystkich usterek dziełka Laveleye'a, zmuszeni jesteśmy ograniczyć się na wskazaniu tych, które uważamy za najważniejsze. Obecnie zaś winniśmy zaznaczyć strony dodatnie książki.

Należy do nich przedewszystkiem wielka obfitość treści. Na 308 stronniczkach małej ósemki potrafił autor nietylko wyłożyć w krótkości główniejsze zasady teoretyczne ekonomii politycznej, lecz zarazem dotknąć zręcznie wszystkich ważniejszych zagadnień praktycznych, wchodzących w jej obręb.

Niemniejszą zaletę dziełka stanowi styl jasny, zwięzły i potoczysty, oraz wykład nadzwyczaj popularny, urozmaicony wielką ilością zręcznie wplecionych w tekst, cytat, które pociągają czytelnika i pobudzają jego uwagę.

Do najlepszych rozdziałów książki zaliczamy: III (w księdze II), zatytułowany: *Praca*, a traktujący o wpływie rozmaitych czynników — naturalnych, politycznych, społecznych, moralnych i umysłowych na produkcyjność pracy; dalej — rozdział IX, tejże księgi o pracach, wywierających wpływ na rzeczy; rozdział V księgi III o zarobku i płacy i tenże rozdział w części drugiej tej samej księgi — o przesileniach pieniężnych, handlowych i przemysłowych.

Tłomaczenie wogóle dobre. Drobnych usterek stylu wytykać nie chcemy, lecz winniśmy się ująć za dobrą sławą nieboszczyka Rossi'ego, którego tłomacz niewiadomo za co zrobił *kryminalistą* (!) — zamiast badaczem prawa kryminalnego.

W. Wścieklica.

Prasa peryodyczna.

Biblioteka Warszawska. Maj i Czerwiec.

Prym trzyma tutaj komedyjka czeskiego poety Jarosława Vrchlickiego p. t. *W beczce Dyogenesa*. Napisany pięknym językiem utwór ten odznacza się nadto werwą, dowcipem i zręcznem dyalogowaniem. Prócz tego, wyprowadzić na scenę zakątek świata greckiego, by Parmenionowi, przyjacielowi i wodzowi Aleksandra Wielkiego kazać schronić się przed pożądliwością jego w beczce Dyogenesa — to pomysł świeży, oryginalny i efektowny. Jeśli dodamy, że są tu zręcznie wyzyskane wszystkie niemal aforyzmy wielkiego cynika i charakteryzujące ciekawą tę postać anegdoty, że wyraziście naszkicowany jest zmienny i porywczy temperament macedończyka a pierwiastek erotyczny reprezentuje wdzięczny obrazek miłości pięknej greczynki — przyznać będziemy musieli, że tyle ponętnych żywiołów w miniaturze scenicznej mogło się udać tylko prawdziwemu talentowi. Tłomaczowi (p. Miriamowi) należy się pochwała za przyswojenie literaturze naszej językiem starannym tej ładnej próbki czeskiego piśmiennictwa.

Dr. Teofil Ziemba grupuje w części znane, w części świeżo wyszperane fakta — w dwa czynniki umysłu Mickiewicza: „Przyjaźń i miłość.“ Praca czyta się z zajęciem, dzięki sprowadzeniu do właściwych momentów historyi serca poety — tych epizodów poezyi, do których natchnienia czerpał w własnych uczuciach i wspomnieniach i dzięki pełnej zamiłowania charakterystyce młodzieży wileńskiej, a mianowicie głośnych stowarzyszeń „Promienistych,“ „Filaretów“ i „Filomatów.“ Z osobistości uwzględnione są szerzej pociągające postacie Tomasza Zana i Maryli Wereszczakównej, w niemniej sympatycznem świetle stawia autor rywala poety, hr. Puttkamera, w opiniach swych kierując się przeważnie wskazówkami Ignacego Domejki, Odyńca i własnych utworów Mickiewicza.

Czy p. Ziemba zamierzał podać psychologiczny rozbiór dwóch kardynalnych uczuć w życiu mistrza, czy też wykazać ich wpływ na niego — trudno nam orzec; pierwszego bowiem brak zupełnie, w drugim niepodobna dopatrzyć się przewodniej idei wśród mnóstwa niesystematycznie powiązanych z sobą szczegołów. Jest to jedynie historya, albo raczej kronika okresów wileńskiego i kowieńskiego, kronika nieszczęśliwej miłości i wewnętrznych cierpień Mickiewicza, które z jednakową zasadą czytelnik mógłby odnieść do zawodów romantycznych jak i do burzliwej atmosfery przejściowej kształcącego się dopiero ducha. Widoczną jest nieumiejętność korzystania z obfitego materyału a stąd i niemożność przedstawienia głębszej analizy.

Pewną komedyę Szekspira przypomina nam z wielką erudycyą napisany artykuł p. St. Marońskiego o „założeniu biskupstwa lubuskiego.“ Zbrojny w cały arsenał cytat i świadectw wszystkich kronikarzów, u jakich tylko znaleźć można wzmiankę, choćby najbłahszą, o Polsce, autor stara się wykazać, że biskupstwe lubuskie założone zostało jednocześnie z włocławskiem i kujawskiem przez Bolesława Śmiałego, ulegającego natarczywym domaganiom się Grzegorza VII. Autor gorliwość swą, godną donioślejszych studyów, motywuje chęcią udowodnienia wczesnego wpływu zachodniej cywilizacyi na Polskę, — zmieńmy wyraz „cywilizacya“ na właściwszy w tem miejscu „katolizacya,“ a fakt jej dawności nie będzie potrzebował dowodów historycznych, mozolnie wygrzebywanych.

Drugą monografią z dziejów ojczystych jest rozprawa p. Augusta Sokołowskiego p. t. „Jan Szczęsny Herburt.“ Autor znany już z pracy ściągającej się do tej samej epoki historycznej („Przed rokoszem“) wybrał sobie osobistość ze wszech miar zasługującą na uwagę, bo członka rodu zasłużonego a przytem pierwszego wydawcę Długoszowej Kroniki, człowieka wybitnego zarówno talentem wojennym jak i literackim. Chcąc go zrehabilitować wobec całego chóru głosów nieprzychylnych a nawet stanowczo potępiających, p. Sokołowski kreśli wizerunek swego bohatera na zasadzie świeżo odnalezionej korespondencyi jego z kanclerzem Janem Zamoyskim. Uwydatnia więc temperament Szczęsnego, wysokie uzdolnienie i staranne wychowanie, malując jednocześnie znakomitą działalność kanclerza, jego protektora. Co się zaś tyczy przywrócenia Herburtowi gwałtownie zaprzeczanej mu przez wszystkich prawie historyków czci — to osiągnął je autor w połowie tylko, po pierwsze nie wykazał, że wydawa Długosza potrzebuje rehabilitacyi, że droga, na którą wszedł, była rzeczywiście „bezdrożem awanturniczej polityki i napiętnowała go znamieniem zdrady i warcholstwa“ — a powtóre nie wyjaśnił całkowicie motywów tego upadku, co zapowiada we wstępie, gdyż jak sam przyznaje: „co skłoniło Herburta do zapisania się w poczet opozycyi, przeciw rządom Zygmunta III, można się tylko domyślać, stanowczo orzec trudno.“

W „Czteroleciu rządów hr. Taaffego,“ p. Eug. Lipnicki na podstawie źródeł niemieckich śledzi przebieg dziejów parlamentu austryackiego od r. 1879, wskazuje okoliczności, które wywołały na arenę polityczną Taaffego, podaje charakterystykę jego, zaznacza korzystne dla państwa ożywienie, które po ogólnej apatyi i uśpieniu zapanowało w sejmie po objęciu przezeń teki ministeryalnej; zaznajamia czytelnika z sztuczną ustawą wyborczą w kraju Habsburgów i maluje walki stronnictw, zastanawiając się bliżej nad nawoływaniami niektórych wybitniejszych mężów stanu do ogólnej zgody i braterstwa w imię potęgi i dobrobytu całego państwa i z drugiej strony nad despotycznemi zachciankami żywiołu germańskiego lub madziarskiego. Jako polak i słowianin, autor ma głównie na widoku interesa swych braci po narodowości i plemieniu, surowo krytykuje zamachy węgrów i niemców, dosadnie przedstawia pierwszych z przyczyny umysłowej niższości węgrów i bezpodstawność drugich wobec przewagi żywiołu słowiańskiego. Widownią tych sporów ogólnych jest pole walki o język. Jakkolwiek fakta zadają kłam artykułowi XIX konstytucyi, gwarantującemu równouprawnienie narodów państwa austryackiego i nienaruszalność narodowości i języka, to jednakże, jak słusznie wykazuje autor, język niemiecki prawem zwyczaju i konieczności zapanował na niektórych punktach i stamtąd wyrugowanym być nie może, bez narażenia ogółu na mnóstwo nieporozumień i niedogodności. Ogół ten bowiem, jako różnobarwny, musi mieć jakiś sposób komunikowania się. Żadna inna mowa zastąpić tu niemieckiej nie może. Idzie więc tylko o to, by zachować nietykalność paragrafu XIX, jest to *maximum* dążeń dla wszystkich narodów cesarstwa, najwyższe zadanie autonomii wobec żądań centralistów.

Oprócz okolicznościowej lecz obszernej pracy o Rafaelu pióra p. Karola Matuszewskiego, zasługuje na uwagę zawsze bogata w doborową treść kronika paryska z zeszytu majowego. Znajdujemy w niej między innemi udatny rymowany przekład wielu urywków rycerskiego poematu o Wilhelmie z Oranii p. t. „Śluby Wiwiana“ oraz najnowszego a niepospolitego utworu scenicznego p. Vaquerie p. t. „Formoza.

Ateneum, maj i czerwiec.

Rozpatrując w dalszym ciągu współczesną powieść we Francyi, p. Sygietyński bliżej zastanawia się nad mało u nas znanymi i cenionymi braćmi Goncourt, barwnie charakteryzuje ich temperament i kompozycyę. Wytycznymi punktami tej charakterystyki są: na wskróś artystyczne usposobienie, niesłychana nerwowość, granicząca z chorobliwą nadczułością, zapał dla nowoczesności i obrona jej, jako nieprzebranej skarbnicy dramatu przeciw tym, którzy jedynie czasom starożytnym przyznają wyższość wytworzenia tragicznych starć i sytuacyj. Przy pomocy Zoli autor rozwiązuje ciekawą psychologiczną zagadkę wspólnego produkowania, wynosi niezależność Goncourtów wobec powszechnej krytyki i wreszcie ich oryginalność pomysłów. Dalej zaznacza architektoniczne znamiona, o ile je spowodowało podobne ukształtowanie pomysłu pisarzów. Właściwością Goncourtów jest pozorny brak jedności w planie, rozstrzeliwanie uwagi na wszystko, co się dokoła dzieje, „tworzenie scen w myśl wrażeń i nerwów artysty,“ który chce całą swoją duszę uzmysłowić sobie samemu i światu. Zarzucając bezwzględnie konwencyonalność w układzie obrazów, nie zalecają się pomimo to z początku tą psychologiczną konsekwencyą akcyi, jaką widzimy u Flauberta. Z czasem dopiero niepomiernie obfita charakterystyka osób nabiera jednolitości i wyrazistości. Dziedziną obserwacyi Goncourtów jest choroba nerwowa wieku: odtwarzają oni krańcową szpetność i piękno, sytuacye skrajnie wstrętne i dramatyczne tych przeważnie sfer, które literatura pogardliwem zbywa milczeniem lub zapomnieniem. Nierówne, gorączkowe tętno naszej epoki, przelewają na papier z przejęciem się natur, wszystkiemi ogniwami synowstwa z nią spojonych—to też jedyną metodą ich kompozycyi musiało być „niekomponowanie,“ W rozdziałach o psychologii i języku, autor przedstawił główne typy kobiece i męskie Goncourtów, umiejętnie dobie-

rając epizody z ich powieści i uwzględniając je własnemi, nader subtelnemi uwagami. „Klinika miłości“ i „newrozyzm“ zostały znakomicie zilustrowane; duch języka gorączkowy, namiętny, a przytem niezrównanie dosadny i plastyczny, uwidoczniony nie mniej zręcznie. Pomimo rozklasyfikowania materyału na rozdziały, p. Sygietyński wszędzie pisze tylko o temperamencie dwu braci — i to, zdaniem naszem, stanowi właśnie niepospolitą zaletę jego analizy. Goncourtowie są samym temperamentem, samą chorobliwą wrażliwością i w każdym rysie, w każdym momencie artyzmu właściwość ta jest przeważną. Szkoda tylko, że prawdziwie głębokiego zrozumienia swych bohaterów, autor nie poparł większą samoistnością języka i zbyt często posługiwał się ich mową.

Dopiero w dokończeniu „Pamiętników hussarza“ znajdujemy wizerunek skrzydlatego polskiego rycerstwa, którego typowym przedstawicielem był właśnie, według p. Chlebowskiego, Samuel Maszkiewicz, a które naród w tak idealnej, nieledwie mistycznej postaci zapamiętał. Na tle autobiografii pułkownika wymalował ogólny obraz husarstwa i przedstawił moralną i estetyczną ocenę jego obyczajów. Rezultat sądu wypadł znacznie mniej korzystny od tego, jaki wytworzylibyśmy sobie, polegając na podaniach skłonnego do apoteozowania przeszłości gminu. Cały urok wojowniczego bractwa zasadzał się na zewnętrznych jego przymiotach i tych wszystkich pociągających a w oczach zimnej krytyki odpychających rysach, które same przez się wyradzać się musiały w klasie pewnej swoich przywilejów i faworyzowanej przez ogół. „Ludzie, którym w życiu nie przyświecała żadna inna idea, nie mogli być idealnymi.“

Co się tyczy literackich i etycznych cech pamiętników Maszkiewicza, to rozbiór ich naprowadza autora na porównanie go z nieskończenie popularniejszym J. Ch. Paskiem. Dwie te charakterystyczne osobistości zbliża podobieństwo wojskowej karyery i niezbyt budujących zasad moralnych: obaj słabą przywiązują wagę do interesu ogółu, gdy idzie o ich własne dobro, obaj tulą się do chorągwi, która im najwięcej rokuje korzyści; dzielą zaś ich właściwości pisarskie, mianowicie niepowstrzymana wymowa i niezrównany humor Paska, zbywający hussarzowi zupełnie.

Dr. Rostafiński w zajmującym artykule p. t. „Podwójna wrażliwość umysłów“, zwrócił uwagę na ciekawe spostrzeżenia dwóch studentów niemieckich nad właściwą niektórym osobom zdolnością przyjmowania pewnych wrażeń dwoma jednocześnie zmysłami, naturalnie w właściwy każdemu sposób. — wtedy, gdy jeden tylko zostaje podrażnionym. Mowa tu o wywoływaniu przez rozmaite wrażenia słuchu, smaku, powonienia i dotykania „pewnych wyobrażeń wzrokowych“. Ponieważ szan. profesor w swym mało ścisłym języku miesza *wyobrażenie* z *wrażeniem*, przeto nie możemy z rozprawy jego zrozumieć, czy ma na myśli kojarzenie się jednakowo rzeczywistych percepcyj, czy też połączenie wrażenia bezpośredniego, realnego, z drugiem reprodukcyjnem, imaginacyjnem. Przypuszczając pierwszy z tych dwóch wypadków, zgrzeszylibyśmy łatwowiernością i uznać musieli odkrycie za bardzo świeże i doniosłe, w drugim wypadku musielibyśmy stanowczo zaprzeczyć twierdzeniu autora, iż podwójny skutek jednej podniety był dotąd zupełnie nieznanym. Sam język, który częstokroć dźwięki lub inne wrażenia określa terminami optycznemi, świadczy przeciw temu, jak np. w obecnym razie przytoczone określenia symfonii Schuberta pierwszej „zielona i słoneczna“, a głosów różnych instrumentów kolorami (Raff), kto pojmuje całą ważność kojarzenia się pojęć w rozwoju myśli — zrozumie *à priori*, iż wrażenie bólu lub dźwięku musi z konieczności iść w parze z wrażeniem, dajmy na to barwy przedmiotu, zjawisko to wywołującego stale. Wprawdzie drogi skojarzeń zacierają się z czasem, tak, iż rzadko jesteśmy w stanie barwę towarzyszącą danemu podrażnieniu powonienia lub smaku odnieść do właściwej przyczyny, lecz z góry, choćby na zasadzie kantowskiego twierdzenia powszechnie przyjętego, że „myślimy obrazami“, przypuszczać powinniśmy w *asocyacyi* właściwą przyczynę mniemanej podwójności wrażeń. Naszem zdaniem istnieją tylko wrażenia pierwotne i pochodne, czyli następcze. Już to samo, że percepcyą wtórującą jest zawsze uczucie koloru, na co p. Rostafiński uwagi nie zwrócił, może poniekąd służyć za argument, że działa tu utrwalenie po prostu widoku zewnętrznego bodźca. Nie przeczymy, że istotnej dwoistości wrażeń niema wcale. Owszem, może ona istnieć, lecz chcąc tego dowieść, potrzeba przedewszystkiem przekonać się, czy nie jest ona pozorną i systematycznie wykazać, że następuje niezależnie od skojarzenia pojęć i wtedy, gdy ostatniego wykryć niepodobna. Wszystkie zaś wypadki, z małymi wyjątkami, na których się opiera szan. profesor, bardzo łatwo można sprowadzić do asocyacyi i przeto do żadnych hypotez nie upoważniają.

Ostatnie dwa rozdziały pracy p. Karłowicza poświęcone są podaniom litewskim i łużyckim. Autor zaznajamia czytelnika ze wszystkiemi czaso- i zbioropismami, a także i pojedynczemi publikacyami, ułatwiającemi zbadanie legendowego bogactwa litwinów i łużyczan. Nawołuje przytem energicznie do troskliwszego zajęcia się sprawą tej ważnej gałęzi naukowej, daje praktyczne w tym względzie wskazówki, zaznaczając z żalem, iż nawet w tym razie, tak blizko nas obchodzącym, dajemy się ubiegać Niemcom.

Poniekąd syntezę wspomnień z podróży stanowi świeżo rozpoczęta obszerniejsza praca p. J. Grzegorzewskiego o „Spółczesnej Bułgaryi“. Jest to obraz stosunków, jakie w okresie obecnym wyrobiły się w tym zapomnianym a przeszłością swoją słusznie szczycącym się kraju słowiańskim, pod wpływem polityki turków i greków. Autor przedstawia proces budzenia się bułgarów z długoletniego odrętwienia, zaznacza szerokie rozpowszechnienie się wśród nich oświaty ludowej, ilustruje ich tolerancyę religijną, wykazuje doniosłość nadania im przez Portę samorządu duchownego (bułgarski egzarchat) i na podstawie własnych obserwacyj charakteryzuje polityczne ich dążenia, postawę wobec narodów sąsiednich a także i polaków.

Sprawę bardzo żywotną porusza p. Julian Łapicki w artykule o „Siłach produkcyjnych wielkich i małych gospodarstw“. W powszechnem obecnie dążeniu do rozstrzygnięcia zagadki, czy racyonalniejszym jest system wielkich gospodarstw, czy też parcelacya, chce autor zająć stanowisko możliwie objektywne. Widać to ze wstępu i krytycznej niezależności względem zwolenników socyalizmu w rolniczej sferze. W dotychczasowem porównaniu stanu gospodarstw obu typów, autor obala licznymi faktami rozpowszechnione mniemanie o nędznem położeniu drobnych posiadaczów i redukuje do należytych rozmiarów optymistyczny pogląd na korzyści wielkich własności ziemskich. Opiera się z jednej strony na mnóstwie dowodów i świadectw zamożności ziemian drobnych, z drugiej wykazuje, że nie należy widzieć prerogatywy w zdolności wielkich gospodarstw do stosowania ulepszeń agronomicznych, albowiem szczegółowa krytyka ich wartości przekonywa, że stanowią one raczej złe konieczne, niż zaletę posługujących się niemi majątków. Porównawczostatystyczne tablice wykazują, iż w tej części kraju, dla której zostały ułożone, przewyżka produkcyjności jest po stronie gospodarstw włościańskich i że tam, gdzie rolnictwo na większą skalę nie ostałoby się dla nieprzyjaznych warunków gleby, małe jednostki gospodarcze mogą nawet rozwijać się. Rezultat ten, na sumiennych obliczeniach oparty, obala zarazem dane statystyki urzędowej, ogromnie obniżającej poziom wytwórczości małej uprawy i jakkolwiek nie dotyczy całego królestwa, jest przecież typowym. Stąd ważny wynik, że z małą własnością liczyć się trzeba poważnie, ona bowiem, pozwalając większej wywozić połowę produkcyi za granicę, sama zaspakaja potrzeby ludności. Autor nie przechyla się stanowczo ani ku wielkiej, ani ku małej własności; widzi w jednej i drugiej naturalny produkt biegu rzeczy, ale nie wróży bynajmniej zwycięztwa parcelacyi wobec tych powabów, jakie ma dla wielu gospodarowanie na dużem terytoryum. Nie broni przecież większej własności powoływaniem się na jej cywilizacyjne śród kmiotków posłannictwo, albowiem ono nie prędko wyjdzie z dziedziny złudzeń. Przedmiotowością swoją p. Łapicki nadał niemałą wartość swemu roztrząsaniu.

Smutną epokę panowania żywiołu niemieckiego w Rosyi, epokę Anny Iwanówny i Birona, jaskrawo i dosadnie przedstawił p. Klemens Kantecki. Do czarnej kroniki wypadków i intryg ówczesnych na sąsiednim dworze dostarczyły autorowi nowych szczegółów papiery posła pruskiego na dworze moskiewskim, barona Axla Mardefeldta. Nader zajmujące opowiadanie to urozmaicone trafną charakterystyką głównych aktorów wielkiego rosyjsko-niemieckiego dramatu. stanowi. jak się zkądinąd dowiadujemy, przedruk odczytu, wygłoszonego na posiedzeniu Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.

Pan W. z Kaliny Lassota przedstawił współczesne poglądy na ciekawą w nauce kwestyę energii słońca: czy jest ona niespożytą, czy też grozi wyczerpaniem. Po streszczeniu odnośnej teoryi Sechiego, Faye'a, Höllnera, Kirchhoffa i Bunsena, autor szczególnie uwydatnia pesymistyczną teoryą Helmholtza, usiłującą dowieść wyczerpalności ciepła słonecznego i to w niezbyt wielkim, bo 17 milionów lat wynoszącym okresie, i przeciwstawia jej najnowszy, optymistyczny pomysł słynnego fizyka angielskiego Siemensa. Uczony ten twierdzi, że gazy wypełniające przestwór między ciałami niebieskiemi, pod działaniem słonecznego ciepła rozkładają się na zapalne węglowodory, które spalając się natychmiast pod wpływem tychże promieni słońca, oddają mu pochłonięte przez siebie i zużyte na rozkład siły. Znakomity Hirn i wspomniany Faye ostro krytykują tę hypotezę, znajdując w niej dwie niedokładności w rachubach i luki nie do zapełnienia, do ich zarzutów dołącza autor własny, konstatując, iż analiza spektralna nie wykazuje bynajmniej obecności w atmosferze międzyplanetarnej węgla i tlenu, których związki posłużyły Siemensowi za podstawę przypuszczenia. *N. H.*

LIBERUM VETO.

Zabranie bliższej znajomości z naszą reporteryą. — Dwie czarne damy. — Dzielny sprzymierzeniec p. Pindtera et comp. — Rozmaite rodzaje popisów i przygotowania do nich. — Legendach o bogach wygnanych z Olimpu. — Błędny duch w naszej prasie. — Międzynarodowe znaczenie języka francuskiego.

Są ludzie, którzy dla dobra ogółu poddają się działaniu kurary, strychniny lub zaczadzenia; co do mnie, to dla szczęścia tegoż ogółu postanowiłem wejść w bliższe

stosunki z naszą reporteryą. Pewnego popołudnia znalazłem się w *alei literatów*. Na drugim jej końcu ujrzałem zaraz pewną wielkość. Obywatel ów szedł ze zwieszoną głową i był tak zamyślony, że nogami rozgniótł niebacznie porcelanową lalkę, pozostawioną chwilowo na piasku. Mała jej właścicielka umawiała się z jakimś „kawalerem" o zaszczyt zostania koniem.

Po zamordowaniu lalki obywatel przywitał się ze mną.

— Tak giną wszystkie narody!

— Chciałeś pan powiedzieć: lalki porcelanowe?

— Dobrze pan mówisz! to są bezduszne lalki... Ale, ale — dodał z tajemniczą miną — czy pan wiesz, że może hr. St. Vallier zastąpi barona Courcela?...

— A, to pan dobrodziej od polityki? nie wiedziałem.

Spojrzał na mnie z wyrazem obrażonej dumy:

— Do widzenia.

— Tak prędko? Dokądże pan?

— Do redakcyi. Panie to przypuszczenie zrobi jutro furorę w Warszawie.

Zaledwie odszedł jeden, zjawił się drugi. Był blady i mocno, mocno wzruszony. Porwał mię za rękę i odprowadzając na bok, rzekł.

— Panie jesteśmy zgubieni!

— Jakto i ja i pan?

. Wszyscy! Demoralizacya! upadek, zgnilizna!

— Cóż się stało?

— Wszystko. Widzisz pan tę kobietę?

Wskazał mi jakąś damę, siedzącą na ławce obok mężczyzny.

— Ta kobieta? Cóż ona zrobiła?

Reporter nachylił mi się do ucha:

— Paali!...

— Pali kogo? Może dzieci żywcem?

— Gdybyż dzieci! — odparł roztargniony — nie, papierosy! zbrodniarka zasłania się jeszcze rączką...

W tej chwili nad głową siedzącej spostrzegłem rzeczywiście niewinny obłoczek dymu.

— Panie, to jest kosmopolityzm!

— „Kosmopolityzm?" Pan z takiej odległości możesz przeczytać nazwę firmy na papierosie?

— Ależ nie! ja mówię o tym kosmopolityzmie, co to... pozytywizm. Do widzenia!

— Pan odchodzi?

— Lecę do redakcyi... Trudno panie, my musimy stać na straży...

Nazajutrz czytałem w jednem z pism, jako nawet ludy wybrane mogą zginąć od palenia papierosów.

Niestety! z tegoż pisma dowiedziałem się o istnieniu innej damy, której operacye zbyt długo uchodziły baczności naszych urzędowych i nieurzędowych reporterów. Nie zagrażała ona wprawdzie naszej swojskości. nie splamiła się papierosowym „kosmopolityzmem, co to pozytywizm," a jednak smutno było pomyśleć, że sumienie ogółu coraz to nowe składa dowody swej małej drażliwości, czytelnicy domyślają się zapewne, że mówię tu o Wypyskiej.

Osobistość ta — z rzemiosła akuszerka, z powołania dzieciobójczyni—stawała niedawno przed sądem. Gazety codzienne rozpisywały się szeroko i o jej pochodzeniu, które nie ma nic wspólnego ze Starem Miastem, i o jej nieprzyjemnej powierzchowności, zdradzającej wrodzony popęd do występku; wszystko to jednak nie podkopało we mnie przekonania, że takie jak Wypyska potwory są wyrobem naszego własnego życia i naszej społecznej organizacyi. Nie chodzi tutaj o to, iż znalazła się jedna lub dziesięć niegodziwych kobiet, ale o to, że w naszej machinie społecznej i takie kółka obracać się mogą, że i dla nich znajdą się u nas osie i oliwa. Z jakąż rozkoszą połamałbym te niegodziwe pręty! Chciałbym tylko wiedzieć, czy mówionoby mi wtedy, iż „łatwiej jest niszczyć niż budować!" Budujcież sobie, budujcie! Nie zazdroszczę wam waszej architektury...

Nie zazdroszczę również p. Kaźmierzowi Krzywdzie jego sławy denuncyanta von Warschau. Dotychczas obrzucali nas błotem p. Pindter et comp., teraz spragnionym żeru prusakom przybył dzielny sprzymierzeniec w osobie (patryoty polskiego!) p. Krzywdy von Warschau. W broszurce swojej: *Die Grossmächte und die polnische Frage* zadenuncyonował on, przed kim należy, całą naszą prasę postępową, której „pozytywny, antireligijny i kosmopolityczny kierunek przygotowuje wdzięczną rolę dla rosyjskiego nihilizmu." O tem, że kretyni nie umieją pozytywizmu od nihilizmu odróżnić, wiedziałem dawniej, ale nie słyszałem nigdy, aby szpiegowstwo było publicznie uważane za dowód religijności, patryotyzmu i idealizmu. Dotychczas myślano u nas w ten sposób, ale po cichu. Czy panu Krzywdzie chodziło o jasne postawienie programu, nie wiem; ale gdybyś, szanowny panie, zechciał twoje oszczerstwo z pod ławy odszczekać, tobym cię pod moją nie puścił.

Tydzień ubiegły był okresem popisów i aktów uroczystych. Ojcowie i mamy nie domyślają się nawet, jak dalece niektóre zakłady naukowe dbają o dobrą sławę ich dzieci. Pięknie było patrzeć na szeregi dziewcząt biorących pierwsze i najpierwsze nagrody, śpiewających i deklamujących, czytających swoje własne lub przez własnych nauczycieli napisane wypracowania; ale któż zgadnie jak drogo kosztowało „zaranżowanie spektaklu" i ile dysput ognistych poprzedziło nieraz narodziny rzymskich i arabskich piątek. Niedyskretny mógł np. posłyszeć taką rozmowę.

Nauczyciel. Proszę pani, panna X. będzie miała dwójkę z historyi.

Przełożona. Ależ panie, ona *musi* mieć piątkę... jej rodzice...

N. Jakto, pani, kiedy ma trzy dwójki na kwartał?

P. Ach, panie, jakiś pan niedomyślny! Panna X *musi* wziąć pierwszą nagrodę... Jej rodzice... itd.

Sceny takie nie wszędzie się jednak zdarzały. Nie poprzedziły one nadewszystko popisów w Szkole rzemieślniczej, w Instytucie głuchoniemych i w Konserwatoryum. Szkoła rzemiosł popisywała się pięknemi postępami swych uczniów i szlachetną względem niej obojętnością tutejszej publiczności. O Instytucie głuchoniemych nie powiem nic. Przywykliśmy ciągle patrzeć u nas na występy ślepych od urodzenia i niemych nie od urodzenia, więc ten jeden popis nie zadziwi nikogo. Co do Konserwatoryum, to niech specyaliści ocenią jego talenty, ja po wysłuchaniu 20 *numerów*, podziwiam tylko wytrzymałość naszych bębenków usznych.

Koncerty filantropijne wymagają kilku słów wstępnych. Dowcipni paryżanie dowiedzieli się niedawno, że „Olimp zamknięto z powodu wywłaszczenia;" ale o czem nie słyszeli francuzi, to o tem, że wszyscy niemal wydziedziczeni bogowie przenieśli się do nas. Z dawnych mieszkanek greckiego nieba najenergiczniejszą okazała się Melpomena. Zdobyła ona stanowcze względy starego Jowisza, który nie tylko się usadowił koło głównego jej przybytku, ale widzi w niej jedyną ucieczkę i ratunek swojej przybranej ojczyzny. Za granicą naszego kraju została tylko Minerwa. Wysiałą na tułactwie głowę bogini strażnicy pograniczni wzięli za... pęcherz z gorzałką i takiem ją cłem obłożyli, że strwożona cofnęła się do niemców. Dla tego to właśnie strapione i spracowane jej córy — stare wysłużone nauczycielki, nie mając naturalnej swej opiekunki uciekły się pod skrzydła ruchliwej Melpomeny. Bogini ta wydelegowała zaraz pp. Józefę Reszkównę, Marcello-Chraszczewską i p. Barcewicza. Dzięki im serdeczne za pomoc. Mając tak litościwych artystów długo jeszcze będziemy nazywali utopią wszelką chęć podstawowej zmiany w stanowisku naszych kobiet.

Jak duch błędnego rycerza, zjawia się od czasu do czasu w naszych pismach kwestya pomnika Mickiewicza. Nie dawno zatrudniała ona znowu ręce i głowy naszych publicystów. Gdzie też rzeczywiście stanie ten nieszczęśliwy pomnik! Jeżeli stanowcza uchwała nie zapadnie przed upływem lat 10, to obawiam się, że wysadzonym *ad hoc* komisyom i podkomisyom coraz to trudniej będzie się porozumieć. Wyobraź sobie czytelniku, że w roku 1899 w Krakowie ma się ostatecznie rozstrzygnąć ta sprawa. Delegaci z Korony Galicyi i Poznańskiego, przywdziawszy czarne fraki i przejrzawszy na prędce jakieś podręczniki o „budownictwie i sztukach," przychodzą do sali obrad. Prezes, krakowianin, zajmuje swoje miejsce.

— Panowie! *Predestynowano mi d' en haut* (uchyla głowę) *attentowanie solennego momentu: jeneralną konkluzyą ankiety...*

W gronie koroniarzów i poznańczyków żywe poruszenie.

— Nie rozumiemy! nic nie rozumiemy...

— Panowie, zapewne po polsku? *Quel malheur!* W dzieciństwie znałem jeszcze ten język... dzisiaj my tu wszyscy mówimy po galicyjsku... ale można temu zaradzić.

Prezes klaszcze; wchodzi czarno ubrany mężczyzna.

— *Monsieur Joujou*, będziesz pan tu z nami: potrzebujemy tłomacza...

Duch Adama spojrzy na nich z góry, ale... duchy nie płaczą.

P. o. P. P.

W PERSPEKTYWIE.

Walna narada w Koziej Łapce. — Dla czego nie zadziwiła mię śmierć *Echa Łomżyńskiego*. — Wspaniały fajerwerk jako przyczyna nieszczęścia woźnicy.—Sprawa p. Lasockiego i jego sąsiada. — Geszefciarze tomaszowscy i ich dziwni obrońcy. — Losy rolnictwa na Ukrainie. — Ciężkie położenie Diany nadwiślańskiej.— Krzewiciele oświaty po wsiach. — Rozmowa z matroną.

Był prześliczny wieczór czerwcowy. „Łomżyńska sekcya honorowej straży naszego narodowego bezpieczeństwa i tradycyi" zebrała się w Koziej Łapce, aby radzić i działać. Już zapalono światło, już rozłożono stoliki, już rozdano *vota* do głosowania — nastąpiła krótka chwila milczenia, po której uroczyście odezwał się głos pierwszy.

„Proste piki!.."

Po zwyczajnych pikach nastąpiło cóś niezwykłego: gospodarz domu powstał z miejsca i rzekł:

— Panowie, po co będziemy podtrzymywali pismo, które rozsiewa tak szkodliwe dla nas idee...

— Ma się rozumieć — odpowiedział najbliższy sąsiad, po co będzie... siedem bez atu!...

— Te artykuły „o służbie folwarcznej," „o parcelacyi" są w najwyższym stopniu wrogie całemu porządkowi społecznemu — ciągnął dalej gospodarz.

— Czysta rzecz jak słońce, że w najwyższym... pan dobrodziej wpadłeś bez czterech—podchwycił sąsiad...

Wpadnięcie bez czterech przyspieszyło koniec *Echa Łomżyńskiego*.

— A więc, skoro tak, to wszyscy dajemy sobie słowo pisemka tego nie prenumerować... czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! To się nazywa działać po obywatelsku! Pomawiają nas o brak solidarności, niechno posłuchają!

Gdybyś jednak naprawdę chciał „posłuchać," czytelniku, tobyś już po owym *wy-*

roku nie posłyszał nic nad sakramentalne hasła preferansowe.

Śmierć najlepszej naszej gazety prowincyonalnej nie zdziwiła mię wcale. Spotykając w każdym jej numerze jakiś poważny artykuł, zapytywałem siebie zawsze: któż u licha czytuje te prace? Czyżby „sekcya łomżyńska" lepszą i rozumniejszą była od innych? Złudzenie! *Echo Łomżyńskie* musiało upaść, gdyż rzeczywiście było dość szkodliwe dla niektórych... kieszeni. Nie napisać nigdy ani słowa o sukni hrabiny, chociażby ta suknia była koloru „cerise," znaczyło zrywać z tradycyą. Po co zresztą rozświecać w głowach prostaczkom, po co było wywoływać publiczne dyskusye nad sprawami, dla których ojcowie nasi ściśle już zostawili przepisy. Jeżeli gdzie w karczmie wiejskiej strażnik przyłapie kiedy jakiegoś *rozwijającego* Maćków Proudhonika, to my nie omieszkamy wtedy obrzucić błotem całą prasę postępową; ale pozwolić na publiczne roztrząsanie spornych zagadnień społecznych nie możemy: na to trzeba coś odpowiedzieć, do odpowiedzi trzeba się przygotować, a my, panie dobrodzieju, no my sobie... „zwyczajne piki."

A jednak służba folwarczna i dworska gwałtownie potrzebuje u nas jakiegoś trybunału. *Echo Łomżyńskie* z za grobu już poleca mi klienta, którego za życia nie zdążyło obronić.

Działo się podczas iluminacyi w Białej podlaskiej. Na rzęsiście oświetlony rynek miasteczka wtoczyła się najtyczanka, jednego z tych, na których zgubę czyhają wszystkie kuchciki i pokojówki. I pan i woźnica i konie byli jednostajnie zdziwieni niezwykłem widowiskiem; podczas gdy jednak w oczach pana malował się szlachetny zachwyt, na ustach furmana igrał głupkowaty uśmiech zadowolenia, a w strzygących uszach koni usadowiła się obawa... Nieszczęście mieć chciało, iż w chwili uroczystego wjazdu najtyczanki zapalono na rynku „wspaniały fajerwerk" (w języku *Kuryera Warsz.* wszystkie fajerwerki są „wspaniałe"). Ziemianin, jak zwykle, nieprzygotowany do wszelkich nagłych reform, mógł podziwiać sztuczne ognie, siedząc już nie na bryczce, ale na miękim piasku, na który go wyrzuciły nieprzygotowane, jak on, konie. Żadna, ani najcięższa, ani najlżejsza część szlachetnego ciała nie uległa szwankowi, woźnica jednak, pomimo to, został oddalonym od obowiązków. U nas, kto nie ma dobrego „stangreta," nie może być dobrym obywatelem kraju.

Nic ci już, zacny obywatelu, nie powiem za to, żeś niewinnie pozbawił miejsca swego woźnicę, ale oddaj mu te 15 rs., na które sobie zasłużył. Wtedy będziesz mógł zatrzymywać pieniądze furmanom, gdy władza zacznie ich okólnikami uprzedzać o wszystkich „mających nastąpić" fajerwerkach.

Przed trybunał *Prawdy* wytoczono jeszcze i inną sprawę. Oskarżycielem jest p. Lasocki z Rososzy, oskarżonym — jeden z jego sąsiadów. Ciąży na nim zarzut.., fałszywej denuncyacyi.

Parę tygodni temu niedobry ów sąsiad obmówił za mojem pośrednictwem pana L. o to, iż tenże, opierając się na sztucznie przez siebie wywołanej uchwale gminnej — przeniósł kancelaryę sądu ze spalonej osady Ryki do swojej wsi dziedzicznej Rososzy, leżącej jakoby w punkcie najbardziej dla interesowanych niedogodnym, gdyż na krańcu sądowego okręgu. Uchwała owa miała też niby sprzeciwić się życzeniom całej okolicznej inteligencyi. Otóż w liście prywatnym do redakcyi *Prawdy* p. Lasocki stara się zupełnie oczyścić z czynionych mu zarzutów. Prostuje on przedewszystkiem geograficzne wiadomości swego sąsiada i twierdzi, że przeniesienie sądu do *leżącej w samym środku okręgu* Rososzy — nastąpiło na skutek zupełnie dobrowolnej uchwały znacznej większości zgromadzenia. Dodaje nadto, że lokal dla sądu ofiarował u siebie całkiem bezinteresownie.

Co do mnie, to zanim „wędrówki na wzór Jastrzębowskiego" nie oświecą nas o topograficznych stosunkach każdej gminy, nie będę mógł wyrzec stanowczego zdania o większej lub mniejszej dogodności Rososzy w zestawieniu jej z osadą Ryki. Nie mając, dalej, powodów nie wierzyć w bezinteresowność p. L., uwalniam go z przyjemnością od zarzutów agitacyi; czynię to jednak, pozostawiając jego sąsiadowi możność składania dowodów, gdyż zarzut donosicielstwa cięższym jest niż pomówienie o agitacyę. W każdym zaś wypadku, proszę was, panowie, abyście wszelkie takie sprawy rozstrzygali zawsze pierwej na waszych polubownych sądach obywatelskich, gdyż wzajemne szkalowanie się po pismach sługę waszego boli, a was... czerni.

Prawdziwie stoicką odwagą wobec wszelkich oskarżeń publicznych odznaczają się czarni geszefciarze tomaszowscy. Ułatwiają oni stale przemytnikom zbyt galicyjskiej gorzałki. Sprytni żydkowie nie narażają się przytem na żadne niebezpieczeństwo, gdyż tylko chłopi defraudujący wódkę odnoszą zwykle karę. Ta ryzykowna propinacya wyrządza olbrzymie szkody miejscowemu rolnictwu, odciągając tysiące rąk od produkcyjnej pracy. Rozumie się, iż źródło gorzkich wyrzekań tomaszowskiego ziemiaństwa nie wyschnie nigdy, jeżeli jedynem na ową chorobę lekarstwem będzie tylko... straż nadgraniczna.

Zepsutą reputacyę swoich współwyznawców starają się w dziwny sposób poprawić niektórzy inteligentni izraelici Królestwa i Cesarstwa. Oto ni mniej ni więcej dają oni składki na budowę... katolickich kościołów. Szanowni panowie, jeżeli już naprawdę sutanny i komże do szczęścia naszego są niezbędne, to pozwólcie mieć pieczę o nich tym, co najgłośniej o potrzebie tej wykrzykują. Nie chcę krępować waszej ofiarności, myślę jednak, iż przysłużycie się lepiej naszemu społeczeństwu, dając pieniądze na oświatę waszych ciemnych, wyzyskujących goima współbraci.

Lepiej niż w tomaszowskiem powodzić się zaczyna rolnictwu—na Ukrainie. W jesieni, jak donoszą gazety, mają tam być zakładane niższe szkoły rolnicze. Każda z nich albo utrzymywaną będzie kosztem skarbu, albo też otrzyma odeń znaczne zasiłki pieniężne. Przeważne uwzględnienie praktycznej strony rolnictwa rokuje, jak sądzę, tym zakładom istotne powodzenie.

Podczas gdy ukraińska Ceres cieszy się takimi względami, nasza nadwiślańska Diana nie będzie już miała wkrótce gdzie polować. Takeśmy się rzetelnie urządzili z naszymi lasami, iż władza wyższa uznała za stosowne zniesienie w instytucie Puławskim wydziału leśnego. Obyż przynajmniej zniesienie to nie było zupełnem i oby wydział ten wcześniej lub później zmartwychwstał—bodajby nawet jako osobny zakład naukowy leśnictwa.

Wesoła rzesza warszawian tłumnie opuszcza nasze miasto, zanosząc do cichych dworków — oprócz mocnego apetytu na kurczęta i gruszki — jeszcze i jakie takie nasiona cywilizacyi. Słowa: postęp, oświata, mącą teraz zapewne ciszę poczciwym wieśniakom. Tu i owdzie odbywają się takie sceny.

Pan Jacenty, wchodząc do pokoju żony.

— Wiesz co duszko, trzebaby zaprenumerować jakieś pismo? ta twoja panna Alicya ledwo przyjechała z Warszawy, a już suszy mi głowę, że nie ma czego czytać.

— Tak? a no to zaprenumerować.

— Dobrze, ale jakie? Możeby *Kuryera Codziennego?*

— Jabym wolała *Wiek.* Widzisz, tam daleko większe arkusze, to się często przyda.. nieraz coś owinąć. Czasem znów przeważy jakość nie ilość... papieru.

Jedzie więc prenumerata do tej lubowej gazety, a za to my zostawszy tutaj na bruku musimy potem czytać takie rzeczy.

„Od redakcyi. Wzrastająca z każdym dniem liczba naszych abonentów daje nam niepłonną otuchę, że pismo nasze zaspakaja istotne potrzeby naszego społeczeństwa itd."

Tak jest, istotnie.

Z księstwa Łowickiego turbują mię ludziska o jakiegoś księdza. Nie będę jednak nic pisał o nim, gdyż moje „względne wakacye" jeszcze się nie skończyły. Nie chcę zresztą narażać się na takie np. rozmowy, jaką prowadzić musiałem niedawno z pewną „matroną."

— Ależ, panie, czy pan się Boga nie boisz, że się tak źle wyrażasz o księżach?

Owszem pani, pragnę pisać jak najlepiej: niech mi tylko pani dostarczy faktów dodatnich.

Och, panie, kiedyż bo to tak trudno!...

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 lipca.

Wakacye. — Sensacyjne pogłoski. — Układy w Tonkinie. — Sprawa albańska. — Wybory do sejmu czeskiego i wiec ruski. — Cholera.

Zaczyna się pora wakacyj parlamentarnych, sejm pruski został już rozwiązany a wkrótce pójdzie za jego przykładem francuska Izba deputowanych. Gazety zagraniczne pozbawione bieżącego materyału, starają się scharakteryzować działalność parlamentów albo skwapliwie w lot chwytają sensacyjne wieści o nowych przygotowaniach wojennych.

Niemiecka prasa półurzędowa, pomimo, że zamknięta sesya sejmu była dla rządu pomyślną, większość bowiem projektów przeszła, zaczęła kampanię przeciw parlamentaryzmowi.

Czerpiący z funduszu godzinowego natchnienia polityczy, przestraszeni wyborem Bebla w Hamburgu, wykazują grożące państwu niebezpieczeństwa: ze strony rewolucyjnego socyalizmu, parlamentaryzmu prowadzącego do rzeczypospolitej i coraz bardziej ogarniającego społeczeństwo ducha niewiary. Jedynem lekarstwem na tę chorobę ma być silna władza, co prawda, środek to dawno już znany i używany, ale nie zawsze z pomyślnym skutkiem.

Wieści o uzbrojeniach nadchodzą ze wszech stron. Jedni widzą widmo bliskiej wojny w decentralizacyi kolei galicyjskich, drudzy w fortyfikacyach rosyjskich na Litwie, inni w powiększeniu twierdz pruskich, inni wreszcie: w podróży generała inżenieryi Brialmonta, sprowadzonego przez rząd rumuński, w pobliżu granicy austryackiej. Jakiś ciekawy reporter zwąchał nawet, że Szwajcarya zakupiła aż... 10 armat. Czyż to nie pewny dowód, że wojna będzie?

Nie będzie jej prawdopodobnie nawet w Tonkinie, pomimo, że rząd chiński gromadzi armię i zakupił pancerną fregatę w Niemczech. Układy pokojowe zawiązane przez posła chińskiego w Paryżu idą pomyślnie, Chiny zgadzają się na zajęcie Tonkinu, chodzi tylko o nominalne uznanie ich zwierzchnictwa nad Anamem. Dyplomacya francuska, mając przykład z anglików, którzy chociaż uznali Egipt jako lenno sułtana, rozgospodarowali się w nim bez ceremonii, nie odmówi zapewne Niebieskiemu państwu tej maleńkiej grzeczności.

Za to układy z hawasami spełzły na niczem i armia francuska opuściwszy nadbrzeżne pozycye posuwa się w głąb Madagaskaru.

Żeby skończyć już z sprawami wojennemi, nadmieniamy, że według przewidywania naszego, baszowie tureccy okazali się niezbyt prawdomównymi. Ruch albański nie ustał wcale. Hafiz basza w imieniu sułtana obiecał powstańcom zupełną amnestyę, pod warunkiem natychmiastowego złożenia broni, nastąpiła więc przerwa w działaniach wojennych. Ale albańczycy nie zbyt ufają obietnicom Porty, nie chcą więc rozbroić się, owszem koncentrują wszystkie siły. Naczelnicy plemion w liczbie 19 rozesłali do wszystkich rządów europejskich memoryał, w którym domagają się uznania swych praw narodowych i protestują gorąco przeciw dowolnemu członkowaniu ojczyzny.

Wybory do sejmu czeskiego ze wsi i miast wypadły dla czechów dosyć pomyślnie. W okręgach wiejskich wybrano wszystkich kandydatów narodowych, ale największy tryumf odnieśli w Pradze. Przedmieście Josephstadt dotychczas wybierało dwóch posłów centralistów, obecnie czesi, dzięki poparciu żydowskiej ludności, przeprowadzili swoich kandydatów. Prawdopodobnie więc w przyszłym sejmie będą mieli niezupełną jeszcze ale zawsze większość.

Wiec rusiński odbył się 29 czerwca we Lwowie. Wbrew życzeniom świętojurców, projekt secesyi został odrzucony. Posłowie rusińscy wtedy tylko postanowili opuścić sejm, jeżeli większość polska systematycznem nieuwzględnianiem ich słusznych żądań uniemożliwi wszelką działalność parlamentarną.

Z Egiptu dochodzą wieści o szerzącej się tam cholerze. Wina ciąży na rządzie angielskim, który dla kramarskich interesów zniósł prawie zupełnie kwarantannę dla okrętów przybywających z Indyi.

CUDZE GŁOSY.

Doskonałe *Gazeta Polska* odebrała z nad Dźwiny list następujący:

„Z despektem kondemnując multyplikujące się intensyve ku korupcyi naszego języka polskiego, lektorowie waryalnych skryptów z potencyalną konsternacyą protestują i kondolencyjnie monitują pp. redaktorów, by kolegialnie i separacyjnie, aplikując kurę propryalną do produkcyj literackich wobec oryentalno-okcydentalnych tendencyj ku wyeliminowaniu i absorbcyi języka polskiego, zdywersowali atencyę na kontemporalną licencyę w dezaranżowaniu tego języka przez kolaboratorów i korespondentów i apodyktycznie oponowali przeciw dominującym furtyfikacyom z dyalektów egzotycznych na opresyę i blasfemię języka własnego. W peryodzie prezencyjnym kursująca metoda stylizacyi polskiej nie jest kultem, ale raczej obskurowaniem języka—ekskluzyjnie dla lektorów, ignorujących lingwistykę etranżeryjną, tak że dla nich bez dykcyonarzy i komentarzy lektura z intelekcyą jest imposybilijną. Oneruje więc na korporacyi literatów funkcya, ażeby, absolutnie abominując symilijne eskamotowanie z fremdenszczyzny, przez klarowną elukubracyę opusów swoich i modele autorytetowe abalienowali tę anormalność z języka naszego i zakaucyonowali solidną puryfikacyę w nacyonalnej literaturze nostryalnej za ekscepcyą chyba sfery doktrynalnej i ewentualności neceseryjnych."

A. M.

Czytając ten list, zdaje nam się, że mamy przed sobą nie humorystyczną parodyę, ale rzeczywisty artykuł wielu dzienników polskich, zwłaszcza poznańskich, w których *dyrektywy, sistowania, tenory* itp. dziwolągi wyparły zupełnie język polski. Przesada? Czytajmy np. w nrze 108 *Dziennika poznańskiego*: „Odpowiedź ta jest prostym *schieberem*," ani jeden polak nie *awansował*, nie został *stabilizowany*" itd. W pewnem piśmie warszawskiem spotkaliśmy niedawno artykuł p. t. „*Attentat* na metropolitę," wykonany z „nonszalancyą." Wszystkie wymówki o przeoczeniach z pośpiechu nie usprawiedliwiają tej hańby, jaką rozpustne pismactwo pokalało język polski. Podnosiliśmy głos przeciw temu niejednokrotnie, ale bez skutku; ci panowie wolą skarżyć się na „prześladowanie" mowy, którą sami zabijają.

Czemu ich tak mało? — pyta lwowski *Nowy Prołom*, przedrukowawszy z *Prawdy* ostatnią jej „Z Czerwonej Rusi" korespondencyę, rozpatrującą wynik wyborów do sejmu krajowego.

„Czemu ich tak mało! Taki wykrzyk — powiada organ *Russkoj Rady*—wyrwie się niewątpliwie z piersi każdego naszego człowieka po przeczytaniu lwowskiej korespondencyi warszawskiej *Prawdy*. Wprawdzie jeden z przyjaciół naszej gazety gorszy się w wydrukowanym niedawno liście z tego właśnie powodu, że ludzie nasi wierzą tego rodzaju, tu i owdzie odzywającym się, polskim głosom i radzi przechodzić nad nimi do porządku dziennego. My jednak mniemania jego nie podzielamy, wiemy bowiem bardzo dobrze, że i (!) między polakami znajdują się uczciwi ludzie. Między innymi głos warszawskiej *Prawdy* jest właśnie wyrazem ich opinii. Że ludzi takich jest obecnie nie wielu i że oni nie cieszą się jakimkolwiek w kołach galicyjskich polaków wpływem, to rzecz inna, jednakże faktem jest, że istnieje stronnictwo zdrowo myślących polaków, mające nawet swoje organy prasy."

Przytoczywszy wspomnianą naszą korespondencyę, tak kończy *Nowy Prołom*:

„Gdyby takie, jak *Prawda*, stanowisko względem rusinów umiały i chciały zająć wszystkie polskie pisma, spór rusko-polski skończyłby się niewątpliwie w bardzo krótkim czasie. Niby pod wpływem różczki czarodziejskiej, przemieniłby się on w tak gorąco przez wszystkich pożądany mir i bratnią zgodę w cześć macierzy Sławie a na postrach jej wrogom. Tylko, że nadejścia tej radosnej chwili my nie spodziewamy się i spodziewać się nie możemy, albowiem służba słowiańskiej idei—to u polskich szowinistów rzecz zdrożna, to w oczach ich odstępstwo od narodowości i religii. Przykro nam o tem mówić, a jednak fakt pozostanie faktem."

Wyraz uznania dla bezstronności, z jaką *Prawda* traktuje sprawy polsko-ruskie w Galicyi, cieszy nas bez wątpienia, o tyle jeszcze więcej, że wypowiada je organ stronnictwa, któremu cierpkiej prawdy nie szczędziliśmy podobno nigdy... Czytelnikom naszym znane jest chyba dostatecznie stanowisko, jakie zajęliśmy nie tylko wobec sporu rusko-polskiego, ale i wobec samychże partyj ruskich w Galicyi. Niejednokrotnie położyliśmy nacisk na to, że wszelkie wynaradawianie, *skądkolwiekby ono pochodziło*, jest nam wstrętnem i że odstępstwo narodowe potępiamy stanowczo.

Zupełnie innem okiem spogląda na tę sprawę *Nowy Prołom* i stojące po za niem stronnictwo świętojurskie, czego najlepszym dowodem każdy numer *Prołomu*, pisany w obcym duchu i języku. Dla tego też zdziwiliśmy się niepomiernie, wyczytawszy, że odstępców od narodowości i religii w szeregach ruskich niemasz, że utrzymywanie czegoś podobnego, to tylko insynuacya, rzucana przez polskich szowinistów na tych, którzy służą słowiańskiej idei.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Galicyjska wolność prasy. Namiestnictwo zabroniło czasowej sprzedaży aż 6 pism: Sztandaru, Strażnicy, Różowego Domina, Dyabła, Głosu wolnego i Kuryera lwowskiego na podstawie nowego tłomaczenia ustawy prasowej. Jest to kara za krytykę nadużyć wyborczych.

Proces. Przed kilku dniami ukończył się w Krakowie proces socyalistów. Rozprawy były tajne. Skazani zostali: Schmidhausen na 4 miesiące i Wesołowski na 3 miesiące ścisłego aresztu. Obcokrajowcy: Janowicz na 3 miesiące, Przygodzka na miesiąc i Cezaryna Wojnarowska na 4 miesiące i wydalenie. Inni na kilkudniowy areszt lub zupełnie uwolnieni od odpowiedzialności.

Cyrkularz. *Tydzień* piotrkowski donosi, że konsystorz duchowny zawiadomił wszystkich księży o rozporządzeniu generał-gubernatora, zabraniającem surowo duchowieństwu mieszania się we wszystkie sprawy samorządu gminnego i szkoły.

Kobieta-lekarz w Rosyi, pod tym tytułem wydał niedawno prof. Suszczyński treściwy zarys dziesięcioletniej działalności kursów żeńskich. Obecnie lekarzekobiety pełnią obowiązki: w ziemstwach 62, w klinikach i szpitalach 54, jako ordynatorki i asystentki na kursach 12, praktuje prywatnie 46, nie zajmuje się praktyką 7. Władza i społeczeństwo kilkakrotnie wypowiadały zdanie o pożytecznej działalności kobiet-lekarzy. A mimo to kursy mają być zniesione!

Kolonizacya. Niemcy zakupili świeżo i rozkolonizowali dwa majątki w powiecie chełmskim, mające przeszło 100 włók rozległości.

Testament Skobelewa. Dzienniki rosyjskie utrzymują, że zmarły generał znaczną część swego majątku, wynoszącego przeszło 2,000,000 rubli zapisał na różne instytucye, a mianowicie: na dom przytułku dla rannych żołnierzy i szkoły ludowe. Osoba, której testament był powierzony, oddała go rodzinie, ale ta ani myśli o przedstawieniu go sądowi — a po upływie roku od zgonu zapisodawcy ostatnia wola zmarłego traci moc prawną.

Bibliografia polska. Faustyn Świderski (ex-bocian) *Pisma humorystyczne*, Częstochowa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ryb. w Józef. Książka ta nie ma do nas wstępu, nabyć jej więc nie można.

P. J. Chojn. w Jefrem. Step. Już nie są redagowane w żadnym kierunku, bo upadły. Sądzimy, że najlepiej życzeniom Pańskim odpowiedziałaby *Gazeta Polska*.

P. A. Miod. w Such. Zdaje się, że może Pan być zupełnie spokojnym.

P. Hal. w Ostr. „Bez skróceń i zmian" pomieścić nie możemy. O współudział prosimy, ale nigdy pod takim warunkiem, gdyż nas obowiązują wymagania pisma, których strzedz musimy. Korespondencyę odesłaliśmy *Kur. Codz.*

P. P. w Warszawie. Nie o „nieomylność" chodzi sz. Panie, ale o to, że do rozstrzygnięcia tak ważnej sprawy, wbrew dotychczasowym wskazówkom nauki, potrzeba licznych i ścisłych dowodów, których w pobieżnym liście Pańskim nie znajdujemy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Іюня 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.